№ 41. Warszawa, dnia 1 (13) Października 1883 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.– Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

TREŚĆ: Jakie życie wiedli dawni Wenecyanie (dalszy ciąg). — Do*** (wiersz). — Magdalena. (Powieść). — Ostatni z rodu. Opowiadanie historyczne (dalszy ciąg). — Wieczorem (wiersz). — Pogadanka. — Z kraju i z zagranicy. — Zawiadomienie. W Dodatku: W dobrym tonie. Przekład z francuzkiego przez K. P. (dalszy ciąg).

JAKIE ŻYCIE WIEDLI DAWNI WENECYANIE.

(Dalszy ciąg.)

II.

Wielka zmiana zaszła w Wenecyi przy końcu XVII wieku. Rząd starał sięześrodkowywać coraz więcej swą działalność polityczną, a jednocześnie arystokracya coraz więcej zamykała się w sobie, ograniczając bardzo swój współudział w sprawach publicznych.

W chwilach głównej potrzeby, złota księga otwierała się dla wzbogaconych mieszczan, ale nieprzebyta zapora oddzielała zawsze człowieka z ludu od patrycyusza. Zaliczanie do szlachty miało miejsce nader rzadko i oddzielał je tak długi przeciąg czasu, iż nie było w stanie nową krwią zasilać Wielkiej Rady. W miarę zmniejszania się posiadłości najjaśniejszej rzeczypospolitej, handel schodził do mniejszych rozmiarów i wytwarzała się klasa biednej szlachty, której urodzenie nadawało prawo do udziału w rządzie i która jawnie domagała się od Rzeczypospolitej środków utrzymania. Więcej jeszcze dotknięty został mały handel, gdy moda odtrąciła wyroby weneckie, dawniej tak poszukiwane. Dawniej tak ubiegano się za szkłami, suknem, koronkami i jedwabnemi wytworami weneckiemi, teraz samo tylko drukarstwo cieszyło się pewną pomyślnością. Żegluga nie nęciła już tego ludu kiedyś tak w niej rozmiłowanego — jak całe społeczeństwo starej Europy, tak i Wenecya w wieku XVIII chyliła się do upadku. Położenie jej, giętkość charakterów, mądrość ustaw, obowiązkowa służba cywilna i polityczna, zupełnie wykluczenie ludu od udziału w rządzie, słowem wszystko co stworzyło jej wielkość i siłę, stawało się anachronizmem. Wprawdzie podziwiano jeszcze działalność, siłę i odwagę, ale nie starano się już o te cnoty, przekładając nad nie wdzięk i słodycz; uganiano się za wszystkiem co błyszczało, co świeciło choćby pozorem okazałości i przepychu. Bale, koncerta, spacery, pogawędki, intrygi romansowe i miłostki, rujnujący zbytek, wesołe pohulanki, nieustający karnawał — oto życie Wenecyi w minionem stuleciu.

W XVII-ym wieku wnętrza pałaców odznaczały się niesłychanym przepychem. Drogocenne złotem i srebrem przerabiane brokatelle pokrywały ściany; gdzie zwrócić oko, trzeba było podziwiać kosztowne kobierce, złotogłów, przepyszne meble; kominki bogato rzeźbione, zdobne malowaniami na porcelanie; ogromne zwierciadła w przepysznych fantastycznych ramach; stoły i szafy wykończone przez Brustalon'a; obrazy sławnych mistrzów; marmury, stiuki — słowem nie widząc niepodobna wyobrazić sobie przepychu i zbytku jakiemi jaśniały apartamenta weneckich patrycyuszów. Samo przez się rozumi się, iż zbytek w stroju odpowiadał takim ramom.

Poważne patrycyuszki z dawnych czasów, osłupiałyby z zadziwienia, ujrzawszy swoje następczynie chodzące po ulicach mocno wygorsowane, oddające wizyty w niesłychanie kosztownych strojach i zostawiające przyjaciołkom swoim bilety wizytowe, często z bardzo rozpustnemi obrazkami. W pośród letnich nocy spacerowały po Placu św. Marka lub na wybrzeżu morskiem, otoczone gronem zniewieściałych galantów i swoich *cavaliero servanto*. Wykwintna patrycyuszka, co najmniej siedm godzin dziennie przesiedziała przed zwierciadłem; samo uczesanie nader ważnem było zadaniem. Upomadowane włosy posypywano żółtym proszkiem i czesano mosiężnym grzebieniem. Noszono coraz więcej loków, ptaków, kwiatów, owoców, najrozmaitszych ozdób, z początkiem XVII wieku, panie nosiły na wierzchu głowy kapelusze w formie koszyków. Ku końcowi XVIII-go stulecia, zarzucając wysokie obcasy, wychodziły na ulicę w małych pantofelkach, w sukniach krótkich z bardzo krótkiemi stanikami. W całkiem także inny sposób nosiły się teraz *bendaletto* to jest czarne zasłony, mające okrywać całą postać; zarzucano je na głowę, owijano około stanika i zawiązywano w pasie, spuszczając dwa długie końce. Od pierwszej niedzieli października do adwentu, zarówno kobiety jak mężczyźni nosili tak zwany *tabarro* rodzaj jedwabnego płaszczyka osłaniającego głowę, na niego dopiero kładło się kapelusz.

Najwięcej jednak ubiegano się za modami francuzkiemi i corocznie podczas uroczystości *Senza* ustawiano na placu olbrzymiego manekina, ubranego podług najświeższej mody. Kobiety obwieszały się klejnotami, zużytkowały także niezliczoną liczbę pachnideł, rękawiczek i pudrów. Wachlarze więcej niż słowa służyły jem do wyrażania najtajniejszych uczuć.

Mężczyźni współubiegali się z kobietami, równie gorliwie naśladując mody francuzkie. Zarzucili nietylko czarne ubranie obciśnięte pasem nabijanym złotemi gwoździkami, ale nawet tradycyonalną brodę a zaczęli nosić wąsy: dekret Rady Dziesięciu zakazujący noszenia peruk, z dnia 29 maja 1669 roku, upamiętnił datę wprowadzenia ich w użycie. Nie zważali na zakaz eleganci, choć jednego z nich, niejakiego Mikołaja Erizzo, to hołdowanie modzie drogo kosztować miało. Zniewieściałe jego nawyknienia, czerwone skarpetki, białe trzewiki a nadewszystko peruka, tak niepodobały się ojcu, że nie uprzedzając go o tem na-

pisał w testamencie: iż wydziedzicza tego z synów swoich któryby nosił perukę i czerwone skarpetki.

Z rozwojem szalonego zbytku, szło w parze coraz większe rozwolnienie obyczajów. Przez jakiś czas były w modzie przechwałki i brutalne zaczepki, w skutku czego zagęściły się pojedynki. Wyrachowani i próżni, mężczyźni popisywali się przed kobietami niedoznawanemi uczuciami, a te ulegały im z nudów i próżniactwa, nie wierząc w prawdziwość okazywanej namiętności.

To społeczeństwo dla którego zbytek stał się niezbędną potrzebą, znajdowało miniaturowe odbicie w świecie dziecinnym; malcy upudrowani, z małą szpadą przy boku, pochylali czoło i całowali z galanteryą rączki dziewcząteк, jak ojcowie ich, stare dzieci, całowali ręce pań. W tym XVIII wieku, małżeństwa weneckie nie były przykładniejsze od wersalskich — rozwody stały na porządku dziennym. Wtedy to rozpowszechnił się ów czysto wenecki pomysł powstałych w XVII wieku *cziczibej'ów*. Moda zabraniała objawiać publicznie uczuć domowych i rodzinnych; mężowie nie towarzyszyli nigdzie żonom, zastępowali ich *cavalieri servanti*, których zastrzegano sobie nawet osobnym artykułem w umowach przedślubnych. I tak zwyczaj z początku może zupełnie nie szkodliwy, zamienił się w zgubne nadużycia — żadna dama wykwintna z wyższego towarzystwa, nie mogła pokazywać się w świecie bez *cziczibe'ja*, który towarzyszył jej wszędzie, od rana do nocy. Mężowie nie mogąc bez wystawienia się na śmieszność, pokazywać się publicznie obok żon swoich, zalecali się do cudzych, spędzali całe dnie w zebraniach w których nie mówiono o niczem poważniejszem, zajmując się jedynie plotkami i obmową, lub nareszcie ubiegali się za kurtyzankami, których liczba zwiększała się ciągle. Nikt nie bronił rujnować się dla nich, ale jeźli która umiała tak usidlić młodego człowieka, iż tenże zamierzał ją poślubić, rząd stawał się nieubłaganym i skazywał ją na wieczne wygnanie.

Pomimo zakazów, chrzciny, małżeństwa i pogrzeby, odbywały się z większym jeszcze przepychem niż w minionych wiekach. Gdy już małżeństwo zostało postanowionem, narzeczony obowiązany był ofiarować dyament i codziennie przechadzać się o umówionej godzinie pod oknami swej przyszłej, która znów powinna była czekać w oknie, aby go pozdrowić. Matka narzeczonego ofiarowywała przyszłej synowej naszyjnik z pereł, którego ta nie mogła przestać nosić prędzej jak w rok po ślubie. Od chwili zaręczyn, młoda panna nie potrzebowała płynąc gondolą siedzieć z dala od *felze*, ale mogła w pół siedzieć, w pół leżeć w jego wnętrzu, na bogatych kobiercach, tak aby mogli ją widzieć liczni przyjaciele płynący za nią gondolami. W dzień ślubu, krewni zbierali się w wielkiej sali, do której pannę młodą ubraną w suknię ze srebrnej brokateli, pokrytą koronkami i klejnotami, wprowadzał czurno ubrany mistrz obrzędów. Klękała przed matką dla odebrania błogosławieństwa, poczem tenże mistrz doprowadzał ją na środek sali gdzie kapłan ślubnym węzłem łączył narzeczonych. Po skończonym obrzędzie, obecni wołali: *basa! basa!* i młodzi małżonkowie zamieniali pocałunek. Teraz rozpoczynał się bal.

Wszystkie panie miały na sobie suknie czarne, przybrane koronkami, perłami i dyamentami. Aby mieć jakieś pojęcie ówczesnego zbytku i przepychu, przeczytajmy opis uroczystości i zabaw urządzonych przez Leonarda Pesano, z okoliczności wydania za mąż córki, w 1676 r.

„Niepodobna wyobrazić sobie różnorodności i bogactwa ozdób i dekoracyi, szczególniej wielkiej sali przyjęć, której ściany pokrywały przepyszne hafty, takież obicia na siedzeniach a w wielkich oknach zawieszone były firanki z przezroczystej złotej i srebrnej tkaniny. Wspaniałą tą salę oświetlał przepyszny żyrandol i świeczniki kryształowe, obok niezliczonej liczby kagańców i świec płonących w bogatych srebrnych lichtarzach. Goście podziwiali dwie galerye obrazów i gabinet medali, poukładanych na małych stoliczkach pod taflą kryształową, otoczoną złotym cizelowanym brzegiem, dokoła których paliły się świece woskowe, w srebrnych kandelabrach. Prócz tego wystawiono na widok pięć gondol pałacowych, ze służbą przybraną w przepyszną liberyę. Podczas tej uroczystości wystąpiono z nowym, świetnym pomysłem, gondolierzy podwójnym ustawieni rzędem, z ogromnemi pochodniami w ręku, stali nieruchomi począwszy od wybrzeży, aż do schodów pałacowych, przez cały czas trwania uroczystości. W takiż sposób rozstawieni byli lokaje na schodach i przestankach między schodami, co nietylko wspaniały tworzyło widok, ale doskanale oświetlało wejście i służba nie potrzebowała biegać za gośćmi ze światłem, jak to zwykle ma miejsce."

Urzędnicy których obowiązkiem było nie dopuszczać krzyczącego zbytku, nie mogli dać sobie rady, ilekroć wytoczyli komu sprawę, zawsze prawie brakło niezbędnych świadków, co zniewalało ich wzywać mistrzów ceremonii, szwaczki, fryzyerki, od których pod przysięgą odbierali zeznania. Probowano wydawać przepisy ograniczające zbytek wypraw, wzbraniali używania majtek ze srebrnego płótna, sukien zachaftowanych złotem, daremnie, podchodzono wszelkie prawa i zakazy i wszelkie bogactwa tak rozpraszały się i marniały, iż przyszło do tego, że starano się kojarzyć małżeństwa między blizkiemi krewnymi, aby zatrzymać w rodzinach upadające majątki.

Szczególniej zimą, podczas karnawału, całą Wenecyę ogarniał szał zabaw i zbytku, Plac św. Marka był środkowym punktem wszelkich zabaw i uciech, wesołe tłumy zapełniały go nieustannie, cudzoziemcy różnych narodowości ukazywali się tu w swoich narodowych ubiorach. Tu puszkarze sprzedawali *bagigi*, murzyni śpiewali swoje piosenki, tam ukazywały się najrozmaitsze maski, arlekini dogadujący młodym kobietom, *mattacino* ubrani biało z czerwonem, rzucający patrycyuszom jajka napełnione wonnościami; Pantalon, szafujący dobremi radami; Brighella, wygłaszający śmieszne koncepta i żarciki. Szlachta i lud zarówno brali udział w tych uciechach. Łamano sobie głowy nad wymyślaniem najrozmaitszych zabaw; co krok spotykało się baraki linoskoków, cyrki, dzikie zwierzęta, tak na wybrzeżu jak we wszystkich częściach miasta. Najbogatsi całe godziny przesiadywali w nader licznych domach gry, w których przegrywano całe mienie. Gdy w roku 1774 wielka Rada nakazała zamknąć te domy, wywołało to prawdziwy przewrot społeczny. Jak pisze jeden ze współczesnych, Wenecyanie chodzili po Placu św. Marka smutni i zasępieni wyrzekając na rząd. „Wszyscy stali się hypokondrykami, żydzi pożółkli jak melony, kupcy nie wiele sprzedają, fabrykanci masek *zdychają* z głodu, a niektórzy ze szlachty „barnabotti" nawykli tasować karty dziesięć godzin dziennie, mają ręce ubezwładnione." Lecz zniesienie szulerni nie zaradziło złemu, grano w karczmach, szulerniach w kasynach, w czem i kobiety gorący brały udział.

W roku 1781 kasyno San Casiano stało się miejscem zebrania całej szlachty i najpierwszych pań, spotykających się tu z kobietami z najniższej sfery i mężczyznami należącymi do ostatniego motłochu. Wszyscy przesadzali się w stroju i w gry hazardzie, kobiety które nie stać było na to, a koniecznie chciały się bawić, służyły za zabawkę innym, poniżając się do najwyższego stopnia."

(*D. n.*)

DO***

Powiedz dziewczę, kto cię na złą
Zawiódł drogę,
Wmówił w ciebie, że ja smutnym,
Być nie mogę?

Czy dlatego — żem dziś wesół był
Dzień cały,
Sądzisz, że me myśli smutku
Nie zaznały?

Spójrz na niebo, pełne światła
I wesela;
Czemuż z nocą, łzę swą — rosę,
Nam udziela?

Wierz mi dziewczę, że policzyć!
Tyś nie w mocy,
Ile jam już miał, bezsennych,
Smutnych nocy!

Władysław.

MAGDALENA

POWIEŚĆ

Pani CARO.

Przełożona z francuzkiego na język polski

przez

P. LUDWIKĘ ROUHER. (*)

I.

Pierwszy raz zobaczyłam Roberta Wall w miesiącu grudniu około siódmej godziny wieczorem. Ukryte wraz z moją kuzynką po za firankami okna, patrzyłyśmy z niecierpliwością na śnieg okrywający coraz grubszym białym całunem podwórze naszego domu.

(*) Panna Ludwika Rouher córka b. ministra za czasów Napoleona III-go, żyjąc w przyjaznych stosunkach z polskiemi rodzinami w Paryżu mieszkającemi, jak Braniccy, Czartoryscy, Zamojscy, Raczyńscy, Krasińscy i inni, zapragnąwszy poznać bliżej naszą literaturę, nauczyła się po polsku i pierwszą przetłomaczoną powieść na nasz język, nadesłała do „Tygodnika".

Miałam wówczas dwadzieścia dwa lat, a kuzynka moja Ludwika siedmnaście. Zdaje mi się że widzę ją jeszcze; była ubraną dnia tego w suknię jedwabną blado różową, od której śliczne jej ramiona i piękna blond główka, odbijały jak biała lilia w bukiecie róż.

— Jesteś zachwycającą, odezwałam się.

Słysząc to uśmiechnęła się i pobiegła do zwierciadła, w które spojrzała z prawdziwem zadowoleniem, a potem wróciwszy oparła czoło na szybie okna mówiąc z westchnieniem:

— Nie przyjedzie.

Aby ją rozerwać zaczęłam mówić o przyszłem jej szczęściu, o strojach, o życiu wesołem, które czekało ją po ślubie, ale Ludwika nie słuchała mnie.

— A gdyby nie podobał mi się — zawołała — osądź sama Magdaleno, już jesteśmy prawie połączeni a nie znamy się wcale. — Nagle zadrżała. — Otóż i on — zawołała gwałtownie — to Robert!

Brama otworzyła się, powóz wjechał w podwórze i zatrzymał się przed naszemi oknami. Młody człowiek wysiadł prędko, ale markiza nad drzwiami nie pozwoliła nam zobaczyć go. Żywy rumieniec rozjaśnił bladą zwyczajnie twarzyczkę Ludwiki.

— Nie mam odwagi spotkać się z nim — szepnęła wzruszonym głosem — od tego człowieka zawisła cała moja przyszłość a za chwilę zobaczę go przed sobą!

— Czego obawiasz się? — zapytałam — czyż nie jesteś wolną?

A jednak drżałam równie silnie jak ona. Projekt małżeństwa Ludwiki i Roberta od dawnego już czasu postanowiony i wiadomy wszystkim naszym przyjaciołom, uważałam jako fakt spełniony a jednak Ludwika i Robert nie widzieli się nigdy.

Ojcowie ich, przyjaciele od dzieciństwa, wspólną pracą dorobili się majątku.

Później poniósłszy straty, rozdzielili się, ale przyjaźń pozostała niewzruszoną. Pan Wall osiedlił się w Nowym Yorku z synem, który miał wówczas cztery lata. Mój wuj zostawszy we Francyi oddawał mu często ważne przysługi, których szlachetne serca nie zapominają nigdy. Przyjście na świat Ludwiki pozbawiające życia jej matkę, zbliżyło jeszcze więcej mego wuja, z panem Waltem, także wdowcem od lat klku. Niemal od dnia urodzenia obydwaj przyjaciele uważali małą sierotkę jako towarzyszkę przeznaczoną dla Roberta.

Małżeństwo to mające połączyć w jedną rodzinę dwa przyjazne sobie domy, stało się jedynem ich marzeniem i celem usiłowań. Wpajano zatem w Ludwikę i Roberta wzajemne przywiązanie prawie od dzieciństwa.

Sprawy zawsze zawikłane pana Walta, zatrzymały go przez długie lata zdaleka od Francyi i kiedy nakoniec powziął zamiar, wrócenia do rodzinnego kraju, śmierć zaskoczyła go nagle. Robert zniewolony załatwić różne trudności dotyczące spadku, został jeszcze kilka miesięcy w Nowym Yorku, ale nie zapomniał o ostatniem życzeniu ojca i skoro tylko interesa zostały załatwione, myśl jego natychmiast zwróciła się do Francyi do młodej narzeczonej, do tej rodziny nieznanej oczekującej go z niecierpliwością.

Ludwika przyzwyczajona codzień słyszeć o Robercie, powoli przywiązała się do niego i bezwątpienia uczułaby wielką próżnię serca, gdyby układy dotyczące małżeństwa były zerwane. Silny niepokój jednak wstrząsnął całą jej istotą, w chwili kiedy miała zobaczyć Roberta. Co pozostanie z tego ukochanego ideału? Ten młody człowiek, który czekał na nią, byłże takim, jakim go sobie wymarzyła w całej niewinności dziewiczego serca? Prawda, że była wolną jeszcze, ale czyż mogła korzystać z tej wolności? Czyż było w istocie podobnem zniszczyć wszystkie te mary, wszystkie te nadzieje, które stanowiły podstawę całego życia? Czuła w głębokości serca i ja czułam z nią, że nie była już panią swego losu, że było za późno aby cofnąć się.

Kochałam ją serdecznie. Od dziesięciu lat żyłyśmy razem jak dwie siostry, od chwili kiedy mój wuj, litując się nade mną biedną opuszczoną sierotą, wprowadził mnie jak córkę do swego domu.

Znałam wszystkie myśli Ludwiki i podzielałam wzruszenia jej serca. Spoglądałyśmy na siebie w milczeniu.

— Idźmy — zawołała nakoniec — lepiej natychmiast jak później.

Wzięła mnie za rękę i zchodziłyśmy powoli. Zatrzymała się jednakże raz jeszcze na progu salonika, gdzie już kilku krewnych i starych przyjaciół było zgromadzonych, ale podniosłam żywo portierę i popchnęłam ją naprzód.

Robert stał na wprost nas, przy kominku ze skłonioną głową przed moim wujem. Na pierwszy rzut oka nie wydawał mi się pięknym, a jednak twarz ta, chociaż nieregularna, otoczona gęstemi czarnemi włosami, miała wyraz energii i nieokreślonej jakiejś siły. Mój wuj przedstawił go swojej córce i zaczęli rozmawiać. Zdaje mi się że spojrzenie Roberta nie zatrzymało się na mnie ani na chwilę, w czasie pierwszej połowy tego pamiętnego wieczoru, mogłam zatem wygodnie przypatrzeć mu się i studyować całą postać.

Był on średniego wzrostu ale giętki i wysmukły, wyraz ogólny był nieco dumny, ale od czasu do czasu coś serdecznego i pieszczotliwego łagodziło nagle blask oczów. Uśmiech pełen słodyczy nadawał ustom niewypowiedziany wdzięk.

Mój wuj czynił zapytania dotyczące sposobu życia jakie prowadził w Stanach Zjednoczonych, a Robert odpowiadał z widoczną rozbudzającą zaufanie szczerością. Opowiadał nam z prostotą, ale bardzo malowniczo różne wypadki ze swojego życia, jedne były zabawne, drugie dramatyczne i krwawe, a wszystkie dawały nam prawdziwy obraz tego dziewiczego kraju, gdzie siła góruje często nad prawem i gdzie każda jednostka zniewolona jest walczyć samoistnie wśród mnóstwa różnorodnych ludzi i sprzecznych interesów.

Co mnie głównie zadziwiało i uderzało w nim, to zupełna obojętność a nawet pewien rodzaj pogardy dla życia. Od dzieciństwa znajdował się w pośród tych nielitościwych walk, gdzie egoizm jest często tylko koniecznym instynktem zachowawczym, jako następstwo ciągłego niebezpieczeństwa.

Przyzwyczajał się zatem nie obawiać śmierci, życie było stawką nic więcej.

Rzeczywiście Robert różnił się wielce od zwykłego towarzystwa paryzkiego. Nie mając nic dziwacznego, nie starając się wywierać wrażenia, miał pewną powabną oryginalność, wzbudzającą ciekawość.

Nieraz opowiadając jakikolwiek wypadek z przeszłości, oczy jego błyszczały dziwnym ogniem, głęboka zmarszczka rysowała się na czole i było można domyślić się, że gorące namiętności kryły się pod spokojem tej twarzy. Zwracałam wówczas oczy na Ludwikę i myślałam mimowolnie, że była za słabą, aby być towarzyszką życia podobnego człowieka. Wystawiałam go sobie zupełnie inaczej, mniej silnym i mniej odważnym, mającym więcej podobieństwa z Ludwiką, która była uosobieniem wdzięku i słabości. Jakże często, obydwie wzajemnie, malowałyśmy Roberta.

Listy pana Walta pełne ojcowskiej dumy, pomagały nam do szkicowania tego idealnego portretu, a młoda nasza wyobraźnia nadawała mu barwy stosowne do kaprysu chwili.

Jakże ciekawie studyowałam Roberta, tego pierwszego wieczoru.

Siedział obok Ludwiki a ja uśmiechałam się mimowolnie, widząc jak zupełnie malutka moja kuzynka zapomniała o mnie, słuchając swojego narzeczonego. W istocie nie potrzebowała mnie. W tej chwili, zrozumiałam po raz pierwszy, smutną samotność mego życia i brak celu w przyszłości.

Aż do tego dnia wdzięczność dla wuja, przyjaźń dla Ludwiki, wystarczały mojemu sercu i nie zdawało mi się, aby kiedykolwiek nowe uczucie mogło się w niem rozbudzić, ale widok szczęścia młodych narzeczonych wywołał dziwny we mnie niepokój. Wsparta na fotelu mego wuja, patrzyłam z roztargnieniem na milczących graczy wista. Słuchałam szmeru głosów Roberta i Ludwiki, rozmawiali żywo, nieustannie. Co mogli mówić?

Długo czas upływał w ten sposób, nareszcie mój wuj poprosił mnie, abym zaśpiewała. Wstałam więc szybko, ciesząc się, że mogłam przerwać towarzyszące mi dotąd nudy.

Otwierając nuty bez namysłu, padłam na fragment Alcesty. Niewiem jaki silny zapał, jakie uśpione dotąd zdolności obudziły się na raz w mojej duszy pod wpływem geniuszu Glücka. Potrafiłam wyrazić nieśmiertelne żale Alcesty, głosem mocnym i wzruszonym, który po raz pierwszy okazał się w tej potędze, pod wpływem niepojętego jakiegoś przeczucia, kiedy nagle, podniosłszy oczy naprzeciw mnie w zwierciadle na wpół pogrążone w ciemności, spostrzegłam wejrzenie Roberta wlepione we mnie z wyrazem głębokiego zdumienia i zachwytu.

Uczułam pewien rodzaj dumy a potem niewypowiedziana nieśmiałość opanowała mnie i nagle przestałam śpiewać.

Wiele lat upłynęło od tego dnia, niczem niepowetowane wypadki spełniły się. Okrutne cierpienia złamały moje serce, ale nie mogę zapo-

---

„Nie wiem — pisze panna Rouher w liście do Redaktora, także po polsku pisanym — czy już dostatecznie nauczyłam się po polsku, aby powieść, którą przetłomaczyłam mogła być wydrukowaną w zajmującym i pożytecznym dzienniku pana. W każdym jednak razie przypuszczam, że praca Francuzki, ożywionej najszczerszą sympatyą dla wszystkich pana rodaków, będzie życzliwie przyjętą przez jego Czytelniczki."

Redakcya może zaręczyć młodą a tak życzliwą dla nas Córkę Francyi, że pragnienie jej z pewnością spełnione zostanie. Obojętni na potwarcze głosy złych i zazdrosnych umiemy oceniać dobre dla nas chęci, tymbardziej, że do nich z wyjątkiem jednej Francyi, zupełnie nie jesteśmy przyzwyczajeni. Mamy przeto niepłonną nadzieję, że w miarę bliższego zaznajamiania się z naszą literaturą, sympatya panny Ludwiki Rouher zwiększać się dla nas będzie i obejmie całe jej serce, jakie już w nas dla siebie zdobyła.

Redakcya.

mnieć tego przejmującego spojrzenia, które spotkałam w zwierciadle a którego fatalnej potęgi, wówczas nie pojmowałam.

Robert przyzwyczaił się powoli odwiedzać nas codziennie. W krótkim czasie wszyscy widzieli w nim przyjętego pretendenta. Mój wuj nie sprzeciwiał się bynajmniej tym częstym wizytom.

W rzeczy samej, było koniecznem, aby młodzi ludzie poznali się przed połączeniem na zawsze.

Zresztą Ludwika nie ukrywała wcale żywej sympatyi, którą uczuła dla Roberta.

— Gdyby tylko mnie kochał — mówiła czasem z pół uśmiechem, a obawa ta i nieufność wydawały mi się pierwszym znakiem miłości.

Z każdem dniem przywiązywaliśmy się więcej do Roberta, ulegaliśmy wpływowi tej żywej i serdecznej natury, tej woli silnej ale zarazem łagodnej, która nie walcząc, umiała panować.

Robert był zawsze z nami, rano tylko zajmował się zwiedzaniem Paryża.

Chwile zaś, które Robert nie przepędzał razem z nami, wydawały mi się ciężkie i nudne. Zwyczajnie przychodził około trzeciej godziny i natychmiast musiał nam opowiadać szczegółowo swoje przechadzki i zajęcia poranne, ze swojej strony także wymagał abyśmy mu opowiadały ważne wypadki, które zaszły od poprzedniego dnia. Czasem braliśmy książkę i jedno z nas czytało głośno, ale wkrótce, tysiące zapytań, żartów, śmiechów, przerywało czytanie, którego nie kończyliśmy nigdy. Wszelkie odwiedziny były nam nieprzyjemne bo rozrywały nasz poufały stosunek. Do dziś dnia, zachowałam w duszy mojej niczem nie zatarte wspomnienie tych chwil szczęśliwych, których pomimo całej goryczy mojego życia nie potrafiłabym przeklinać ani zapomnieć ich wdzięku i słodyczy.

Wieczorem bywaliśmy w teatrze lub na koncercie, a kiedy zostawaliśmy w domu wówczas siadałam do fortepianu i wraz z Ludwiką śpiewałyśmy, gdy tymczasem mój wuj był zatopionym w ulubionej swojej partyi wista.

Były to nasze najmilsze chwile! Często zdarzało się, że śpiewając, znowu spotykałam oczy Roberta wlepione we mnie z dziwnym wyrazem, ale spojrzenie to, przelotne jak błyskawica, sprawiało w mojem sercu tylko chwilowe wzruszenie, jednakże Robert chwalił mnie mało i rzadko mówił o moim głosie, raz tylko, kiedym zrobiła mu wymówkę, że z roztargnieniem i obojętnością słuchał śpiewu Ludwiki, uśmiechnął się:

— Dla mnie — odpowiedział — muzyka nie jest sztuką, ale namiętnością i sądzę, że dla ciebie także Magdaleno...

Ludwika była w blizkości nie dodał nic więcej.

Powoli przyszło do tego, że i ja czekałam przybycia Roberta z równą niecierpliwością jak Ludwika. Poznawałam chód jego przed wszystkiemi, niepojęte uczucie oznajmiało mi kiedy się przybliżał. W jaki sposób tak żywe i nowe uczucie nie obudziło w mojem sercu żadnego niepokoju, tego nie mogę sobie wytłomaczyć. Bezwątpienia brak doświadczenia w miłości był przyczyną mojego zaślepienia, nie miałam siły do zwalczenia przywiązania zwiększającego się z dniem każdym. Czyż niewiedziałam zresztą, że Robert miał być mężem Ludwiki a zatem czyż nie miałam prawa kochać go jak brata? A może pewna tajemna słabość przedłużała moją ułudę. Niewątpliwie byłam zwyciężona przez tę fatalną skłonność zasłaniającą nam oczy i niepozwalającą spostrzedz niebezpieczeństwa, które przeczuwamy tylko, nie mając dosyć odwagi, aby walczyć z niem otwarcie.

A zresztą nasze życie upływało tak mile, tygodnie następowały po tygodniach, których nie liczyliśmy wcale. Mój wuj przygotowywał drugie piętro domu dla młodych małżonków. Roboty w tej mierze odbywały się spokojnie, mówiono o nich półgłosem, jak gdyby lękano się wystraszyć szczęście, nazywając je po imieniu, ale często, mimowolny zwrot rozmowy przypominał przedmiot, który zajmował wszystkie nasze myśli. Ludwika była w zachwyceniu a ja chciałabym była uwiecznić tę obecną błogosławioną chwilę.

(D. c. n.)

WIECZOREM.

Na balkonie wieczorem siedzieliśmy razem,
Wpół gawędząc wesoło, wpół marząc o niczem,
Wietrzyk tkał na błękicie cudne z mgły obrazy,
I barwił je bladego księżyca obliczem.

Białe chmurki oblane leciuchnym szkarłatem,
Płynąc cicho po niebios przejasnej topieli,
Zdały się jako łodzie, któremi nad światem,
Niosąc święte natchnienia spływają anieli.

W górze cisza, gwar ziemi słabą płynie falą,
Gwiazdy cicho wpatrzone w nieskończoność błogą,
Wieczornych zórz połyski w błękitach się palą,
I w światy wiecznych cieni jasną płyną drogą.

Spragnionym tyś o nocy gościem dla mych źrenic,
Strojna w gwiazd dyademy i płaszcze z błękitu,
Lecz przez mury wysokie spiętrzonych kamienic,
Tylko rąbek twej szaty widnieje u szczytu.

Zaledwie jedna gwiazdka schowana głęboko,
Zsyła tu nam promyki wpół tęskne pogrzebne,
O kiedyż was obejmie stęsknione me oko,
Wy stepy nieskończone, oceany niebne!

Śmiech mnie z dumań obudził, słucham a tu szydzą,
„Że księżyc jest pyzaty, że go szramy żłobią,
Że skrzywiony". Oh! oczy ludzkie krótko widzą,
I często się z tych śmieją co im życie zdobią.

Wisława.

OSTATNI Z RODU.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

Skreślił

Władysław Kor. Zieliński.

(Dalszy ciąg.)

U drugiego wązkiego końca stołu, na trzech wysokich stopniach, w szerz całej sali było miejce dla patronów i palestry, odgrodzone od stołu trybunalskiego dosyć wysoką kratką. W pośrodku tej kratki utkwiony był wielki czarny krzyż z figurą Zbawiciela i napisem „*Institias vestras judicabo*", ofiarowany trybunałowi przez Jana Zamojskiego.

Za kratką patronów jakoteż po za balustradą okalającą deputatów, gromadziła się publiczność, świadkowie, pozwani i pozywający. Obok kratki pod ścianą zewnętrzną sali, znajdowało się podniesienie z kilku ławami, gdzie zasiadali znakomici goście, dołem zaś była ława dla oskarżonych, którzy przez kratkę z obrońcami swemi komunikować się mogli. Do sali tej oświetlonej dziesięciu oknami i mającej misternie rzeźbiony balkonowy pułap, prowadziło dwoje drzwi, przez jedne było wejście do obszernej izby ustępowej panów deputatów, drugie zaś prowadziły z zakratki do ogólnej izby ustępowej, do której asystujący posiedzeniom trybunału na wezwanie woźnych, w czasie narad sędziów oddalać się musieli.

Do ogólnej ustępowej izby przypierała kaplica trybunalska, ozdobiona obrazem Matki Bozkiej, gdzie każdodziennie przed rozpoczęciem posiedzenia, prezydent wobec deputatów i palestry odprawiał Mszę świętą. Otóż i teraz, po wysłuchaniu nabożeństwa, marszałek trybunału Jan Korczak Drohojewski kasztelan Sanocki, z laską marszałkowską w ręce podniesioną w górę i poprzedzony przez woźnych wraz z prezydentem i deputatami wszedł do sali sądowej.

Woźni głośnym nawoływaniem: „mości panowie uciszcie się, najjaśniejszy trybunał nadchodzi", oznajmili tłumnie zgromadzonym chwilę otwarcia posiedzenia, a gdy marszałek, prezydent i deputaci, zajęli miejsca i w sali zaległa cisza, pisarz trybunalski siedzący przy stoliku tuż obok marszałka, podał mu plik papierów i wokandę, z której za marszałkiem stojący woźny, donośnym głosem zawołał:

— Sławetnie urodzony Jakób Żędzian, przeciw jaśnie oświeconemu Janowi Siemionowi Olelkowiczowi księciu na Trojczanach i Słucku Słuckiemu o rapt i wiolencyą dziewki jego, sławetnie urodzonej Małgorzaty Żędzianki.

Na ławie oskarżonych blady i wielce wzruszony siedział książę Jan, mając u boku swego Powałę i kilku dworzan, jako też na świadków wezwanych Jana Ostroroga, Marka i Jakóba Sobieskich, Piotra Czernego, Białyńskiego, Prandotę, Dzierżka, Chamca, Andrzeja Koźlę i wielu innych. Tuż po za księciem jako goście siedzieli: Andrzej Zborowski, Stanisław Górka, Mikołaj Zebrzydowski, Wawrzyniec Goślicki biskup Chełmski, ks. Bartłomiej Sabinek świeżo mianowany archidyakon Lubelski i inni przyjaciele księcia Słuckiego lub też Górki.

Z wywołaniem sprawy głuche milczenie zaległo izbę sądową i oczy wszystkich zwróciły się na instygatora, który powstawszy z miejsca swego jakie zajmował przy małym stoliku obok prezydenta, odczytywać począł obszerny, licznemi ustępami z starożytnych pisarzy zaopatrzony, a księcia Jana wielce potępiający akt oskarżenia.

U kratek stojący Onufry Żurda wraz z dwoma mecenasami: Joachimem Orzeszko i Baltazarem Wojnowickim, wielkiej wówczas jako prawnicy zażywającymi sławy, notując ciągle niemal wyraz każdy wypowiedziany przez instygatora, przygotowywał się na wypowiedzenie obrony. Instygator potępiając księcia Jana, zakończył na zasadzie istniejących praw i konstytucyi wnioskiem

pozbawienia winnego czci i oddania go pod miecz katowski.

Tak całe oskarżenie jako też i wnioski w głębokiem milczeniu wysłuchane, wywołały wśród zgromadzonych bardzo przykre wrażenie, książę Jan jednak przyjął je spokojnie i z pogodnym niemal obliczem, będąc pewien swej niewinności.

Po chwilowem milczeniu, gdy instygator usiadł skończywszy rzecz swoją, Żurda rozpoczął wygłaszać obronę, a zbijając punkt po punkcie oskarżenie instygatora i udowadniając, że czynu inkrymi nowanego klient jego popełnić nie mógł, powołał się na świadectwo tak obecnych jako też i samego kanclerza, z którym od chwili sejmu konwokacyjnego, aż do pojmania w niewolę arcyksięcia Maksymiliana ciągle przebywał. Świetną tę obronę Żurda, zwracając się do Żędziana, stojącego w pośród przyjaciół swoich Klonowicza, Zórawskiego, Lichańskiego, Felkela, Lubomelskiego i t. d. zakończył temi słowy:

— Przyznasz to waszmość, sławetnie urodzony Jakóbie Żędzianie, za sprawą którego jako oskarżony o porwanie twej dziewki staje tu obecny klient mój, a który od młodości swej licząc się za przyjaciela waszmościnego, przezeń również przyjacielem był zwany i uważany, że rzeczą jest ciężką przy niewinności, tak wielką ponosić kalumnią. Przyznasz i to, że cokolwiek ma w sobie żalu serce, to język, jako jego naturalny tłomacz światu ogłosi, a mimo tego strapionemu nieszczęściem, jakie waszmości dotknęło, dodajesz strapienie posądzając go o dopuszczenie się czynu tak niezgodnego z poczuciem honoru i czynów całego jego dotychczasowego żywiołu. Z pismem tu świętym tedy, zapytać muszę: „Jeżelim dobrze czynił, przecz, że mnie bijesz?" Oskarżając o czyn tak potworny jaki dopuszczono się na dziewce waszmościnej, pragniesz i wywołujesz zadosyć uczynienia śmiercią niewinnego! Jest to wszystkich żyjących wspólne prawo, ktokolwiek na świat wychodzi, już na śmierć jest przeznaczony! Lecz zapominasz waszmość, że kto czem wojuje, ten od tego też i ginie! Wygnanie, płacz, boleść, są to obowiązki życia i od tych nikt wyłamać się nie może, jednak jeżeli umrzeć, to umrzeć, to umrzeć dobrze, a lepsza pono śmierć być nie może nad tę, która kogo przy niewinności potyka. Otóż więc jeżeli waszmość chcesz pomścić zniewagę jaką ci w mniemaniu twoim wyrządził klient mój, i domagasz się oddania głowy jego pod miecz katowski to pomnij na to, że Perseus, chcąc ojczyźnie swej przysłużyć się, zabił węża, z którego szyi krople krwi spadające, niezliczone zrodziły gadziny. Krwią niewinną nikt zapału swego nie ugasi, bo za niewinność ujmie się Bóg! Jeżeli więc masz waszmość w rękach niczem zbić się nie dające dowody, jeżeli masz świadków przed Bogiem i ludźmi wyznać mogących, że inkryminowanego czynu dopuścił się mój klient, to rzuć nań kamień potępienia i żądaj głowy jego, pomnij jednak zawsze, że Bóg jest wszechwiedzący i najsprawiedliwszy sędzia! Wy zaś sędziowie najjaśniejszego trybunału, w rękach którego spoczywa życie i cześć człowieka, który przez ciąg żywota swego niemało zasług położył dla dobra ojczyzny, który niejedną kroplę krwi w obronie jej wylał, który najmniejszą nieprawością życia swego dotąd nie splamił, wydając wyrok pomnijcie, że Parka trzymająca kosę, groźną ręką wskazuje napis wyryty na złotej karcie wieczności: „*Prawa tłomaczę, królami rządzę, sędziów sądzę!*" Przedewszystkiem zaś spojrzyjcie na tego tu na krzyżu rozpiętego Zbawiciela świata i miejcie na pamięci te słowa jego: „*Institias vestras, judicabo!*"

Po przemówieniu tem ozwał się raz jeszcze instygator, konkludując swą replikę wezwaniem do sędziów, aby karząc winnego, uczynili zadosyć sprawiedliwości, nie bacząc ani na poprzednie życie, ani też czyny jego, bo jedna zbrodnia, której się dopuścił, niweczy wszystko to co by za winnym przemawiać mogło.

Żurda w świetnej nadzwyczaj, acz krótkiej duplice, poparty przemówieniem się mecenasów Orzeszki i Wojnowskiego, raz jeszcze wykazując niewinność księcia Jana, domagał się, by trybunał uznawszy go niewinnym zarzucanej mu zbrodni, zwrócił mu in optima forma cześć naruszoną.

Po przesłuchaniu świadków, za danym znakiem woźny trybunału tuż za marszałkiem stojący potężnym zawołał głosem:

— Najjaśniejszy trybunał przystąpi do ferowania wyroku! Na ustęp więc mości panowie!

Na wezwanie to oskarżony, oskarżający, świadkowie, cała palestra i tłumy ciekawych opuścili izbę sądową, udając się do sali ustępowej znajdującej się tuż obok kaplicy.

Po całogodzinnem przeszło oczekiwaniu, drzwi izby sądowej ponownie się rozwarły i woźny oznajmił, że trybunał nadchodzi.

Gdy w sali sądowej uciszyło się, marszałek donośnym głosem zawołał: „Woźny otwórz drzwi!" co tenże z trzaskiem i rumotem po trzykroć razy dokonał. (¹)

Marszałek trybunału Korczak Drohojewski powstał z siedzenia i trzymając w ręce już ferowany wyrok, z widocznem wzruszeniem, drżącym głosem czytać go począł.

Milczenie głuche zaległo izbę sądową, wszystkich oczy zwrócone były na marszałka, wyraz twarzy którego tak jak i niewysłowione pognębienie wszystkich niemal deputatów, zwiastowały wyrok wcale nieprzychylny, lecz owszem potępiający nieszczęśliwego księcia Jana, który sparty na ramieniu Marka Sobieskiego, blady lecz zupełnie spokojny stał tuż naprzeciw stołu sądowego.

Już Marszałek odczytał motywa wyroku i przystępywał do ostatecznej konkluzyi, gdy nagle u drzwi prowadzących do ogólnej izby ustępowej, wszczął się ruch niezwykły i gwar coraz bardziej rosnący, który zagłuszał czytanie i zmusił marszałka, że zamilkł, zaleciwszy aby się uciszono. Nic to jednak nie pomogło, gdyż wśród niezmiernej wrzawy i głośnych nawoływań, roztrącając tłumy obecnych, na środek sali tuż przed balustradę okalającą stół sądowy, wypadła postać kobieca pokryta łachmanami i wiodąca za sobą dwóch drabów o wstrętnem obliczu.

Na twarzy kobiety malowało się przerażenie. Zatrzymawszy się przed kratką, błędnym wzrokiem powiodła po deputatach i dygnitarzach zajmujących ławę przeznaczoną dla gości.

Stanisław Górka ujrzawszy przybyłą zadrżał i mimowolnie powstawszy z ławy, pochylił się naprzód, tak jakby chciał rzucić się na nią.

— W imię ukrzyżowanego Zbawiciela! — zawołała przybyła kobieta — stój! stój! jaśnie marszałku, nie potępiaj niewinnego! Niech będzie pochwalone imie Pańskie! żem zdołała przybyć tu jeszcze na czas! Nie miłościwego księcia Słuckiego, któremu oby Bóg błogosławił, lecz tego tam zbrodniarza przed sąd stawić należy! — i mówiąc to kościstą i drżącą ręką wskazała na Górkę, który z głuchym jękiem padł na ławę.

Słowa te wywołały na razie niezmierne zdziwienie, lecz po chwili ozwały się głosy wzywające, aby szaloną babę z sali sądowej usunięto i czytanie wyroku dokończono.

— Mości panowie uciszcie się! — zawołał Marszałek uderzając swą laską kilkakrotnie o stół, — wpierw nim wyrok ferowany odczytamy, należy wysłuchać co ta niewiasta ma do powiedzenia! Mów więc, — dodał Drohojewski składając wyrok i zasiadając na swojem miejscu — kto jesteś i czego żądasz?

— Żądam, — odrzekła pytana — sprawiedliwości przeciw zbrodniarzowi a uwolnienia niewinnie posądzonego! Kto jestem? Zapytajcie się tego tam co jest senatorem, wojewodą, tego co krwią, łzami i cześcią ludzką żyje, tego który podeptał prawa Boskie i ludzkie, który duszę swą dyabłu zapisał! Kto jestem pytacie, raczej pytajcie kim byłam?

— Mów więc! — rzekł marszałek.

— Kiedyś, wie to najlepiej miłościwy wojewoda Poznański, — mówiła nieznajoma — zwałam się Hanna Brzozkówna i otoczona miłością ojców moich pod skromną strzechą dworku rodzica w pobliżu Szamotuł, żyłam szczęśliwa, aż do chwili, w której miłościwy jeszcze na on czas wojewoda, nie raczył zwrócić na mnie swe oczy i zapłonąwszy miłością porwać mnie kazał od rodziny. Zhańbiona, pogardzona, odepchnięta, o chłodzie i głodzie w ciemnych i wilgotnych lochach Szczebrzeskiego zamku więziona, zmuszona do złożenia przysięgi, że nigdy nie stanę przed jego oczyma, ruszyłam w świat, opłakana i przeklęta przez ojca i matkę. Opuściwszy miejsca, gdziem wszystko postradała, podążyłam daleko nad Dniepr, aby nieznana wśród stepów i jarów pędzić życie samotne! Tam też w Czechryniu postrzygłam się i przywdziałam suknię Czernic, monasteru Czehryńskiego wraz z nazwą Motruny, pod którem to imieniem i tu znaną jestem. Osiadłszy w monasterze, długie lata strawiłam na modlitwie, która mi pociechy nie przyniosła a tęskniąc niewysłowienie za rodzinnemi stronami, opuściłam Monaster i żyjąc jedynie z jałmużny otrzymywanej od litościwych ludzi, ledwo żywa, zmuszona głodem i chorobą dowlokłam się wśród zimy sześć lat temu do Lublina, gdzie bez życia prawie padłam tuż u furty klasztoru panien zakonnych. Litościwe panny znalazłszy mnie na wpół już zmarzniętą, zabrały do klasztoru i pielęgnując gorliwie przyprowadziły do życia, a gdym z łoża boleści podnieść się już mogła i gdym dalej iść chciała, wtedy przewielebna ksieni nakłoniła mnie, iż opowiedziawszy jej losy żywota mego, pozostałam nadal jako sługa klasztorna. Zastrzegłam sobie tylko, że pozostanę tu tak długo, jak długo nie odnajdę dziecięcia mego. Zgnębiona losem moim, przeciwnościami jakich doznawałam, oraz straciwszy już wszelką nadzieję odszukania mego syna, zapałałam straszliwą nienawiścią do ludzi. W duszy mej wylęgła się chęć nieprzeparta pomsty na wszystkich za cierpienia moje! Zły duch opętał mnie, od tej też chwili, nie mając i godziny jednej spokoju, włóczyłam się po klasztorze i kościele, wśród tej włóczęgi odnalazłam podziemia, mające wyjście do wąwozów Wrotkowskich. Na początku jesieni, dwa lat temu, włócząc się tak po pod murami miasta i klasztoru, dostrzegłam człowieka krążącego około klasztoru, który rzuciwszy mi jałmużnę dopytywać się począł czy nie wiem

(¹) Zwyczaj ten był w użyciu przed odczytaniem wyroku obwinionemu skazanemu na śmierć.

w której z cel klasztornych przemieszkuje Żędzianka, w której jak mówił rozmiłował się straszliwie i którą ponieważ rodzic jej temu się sprzeciwia, z klasztoru porwać i poślubić zapragnął. Na myśl, że takąż samą boleść mogę sprawić komuś jaką doznali moi ojcowie, oświadczyłam, że chętnie mu dopomogę do porwania Żędzianki. W dni też parę nadciągnął do Lublina pan Stadnicki, i dnia tego nocą Żędzianka porwaną być miała. Jakoteż około dwudziestej godziny, gdy noc zapadła, owego nieznajomego z czterema pomocnikami wprowadziłam wejściem od wąwozów Wrotkowskich, do podziemi i grobów kościelnych. Nim jeszcze pierwszy kur zapiał, Żędzianka uśpiona zadanym jej przeze mnie trunkiem, była już w rękach tego łotra i wsadzoną została do kolebki, z którą liczni dworzanie otoczywszy pognali drogą prowadzącą do Zembrzyna. Będąc już u wyjścia z podziemi raptownik on, powiedział mi, że jest sługą księcia Jana Siemiona, lecz gdy dosiadł konia i do odjazdu się zabierał, wtedy szydząc ze mnie powiedział, że wojewoda Poznański wdzięczen mi będzie za to, żem dopomogła do porwania Małgosi! Usłyszawszy to krew we mnie prawie zastygła, przypomniałam sobie wszystko, żal ścisnął mi serce, i w tej chwili usłyszałam jak na koniu będący z dzikim śmiechem, bluznąwszy mi obelgą wymienił swe imie i nazwisko! Był to Grzegorz Brzozka! mój syn!! Padłam zemdlona... ocknąwszy się a świtać już poczynało, podążyłam za śladem kolebki! Nad wieczorem, na drodze prowadzącej do Wysokiego, wyszedłszy z lasu ujrzałam na gałęzi przydrożnego drzewa, zwisłe ciało Brzozki. Oderznęłam postronek... ale widać, że taką była moja dola, abym dawszy mu życie, również i na wieczny spoczynek ułożyła. Rękami też własnemi, pod sosną na której żyć przestał, wygrzebałam dół głęboki i tam złożyłam ciało jego, a zasypawszy je i pokrywszy świeżą mogiłę darnią ruszyłam dalej pragnąc uwolnić porwaną. Lecz niestety, w Szczebrzeszynie mimo moich usilnych starań, mimo ciągłej włóczęgi po kraju i poszukiwań porwanej, nic wykryć nie zdołałam a dowiedziawszy się, że o ten gwałt posądzony jest książę Jan Siemion, wyszukałam tych oto dwóch ludzi, którzy do porwania Żędzianki dopomali Brzozce i przyprowadzam tu, aby świadczyli o niewinności oskarżonego! A teraz, gdym spełniła to co mi sumienie nakazało, pozwólcie bym wróciła do klasztoru i tam dokończyła nędznego żywota mego!

Gdy Motruna mówić przestała, w sali sądowej zaległo milczenie. Zeznanie uczynione na korzyść księcia Jana, zmieniało całą postać rzeczy.

Jakoż po przesłuchaniu świadków przyprowadzonych przez Motrunę, wśród ogólnej radości, Marszałek trybunału Drohojowski, odczytał donośnym głosem wyrok uniewinniający księcia Jana Siemiona Olelkowicza Słuckiego, a nadający zarazem Jakóbowi Żędzianowi prawo poszukiwania sprawiedliwości.

Po odczytaniu tak pomyślnego wyroku, Żędzian zgnębiony myślą, że gdyby nie zrządzenie Boże stałby się był przyczyną śmierci niewinnego, zbliżył się do księcia Jana i padłszy u nóg jego zalany łzami, potężnym zawołał głosem:

— Przebacz!

Na okrzyk ten, książę Jan ocknąwszy się, podniósł u stóp jego leżącego Żędziana i z całą miłością przycisnął do piersi swojej.

— Wszyscyśmy ludzie grzeszni, wszyscy też błądzić możemy, — odrzekł książę Jan ściskając Żędziana. — Otóż i wam mości Jakóbie, to co zaszło za złe nie poczytuję i z duszy i serca przebaczam! Bóg sprawiedliwy nie chciał by niewinny cierpiał! Nie traćcie też nadziei. Przy Bożej pomocy, wspierając się wzajemnie odszukamy waszą nieszczęśliwą córkę, tego zaś który do zbrodni przyłożył rękę, niech Bóg najwyższy w miłosierdziu swoim osądzi!

Słowa te wyrzeczone przez księcia głośno i dobitnie, wywołały w obecnych okrzyk pełen zapału. Mieszczanie, szlachta, Deputaci, Senatorowie cisnęli się do księcia Jana i Żędziana, aby im wyrazić swą radość z tak szczęśliwego obrotu całej sprawy.

Jeden tylko Górka siedział nieruchomy na swojem miejscu i wodząc błędnym wzrokiem po otaczających, mruczał niewyraźne związku nie mające słowa.

Motruna niepostrzeżona przez nikogo, zbliżywszy się do Górki spojrzała nań z najwyższą pogardą — a rzuciwszy mu pod nogi postronek, rzekła:

— Oto masz spuściznę po twoim synu, zachowaj ją jako skarb najdroższy a może i tobie przyda się kiedyś! Za krzywdę zaś moją wzywam cię na sąd Boży, przed majestatem którego staniesz niebawem!

Górka z dzikim okrzykiem zerwał się a odepchnąwszy od siebie Motrunę, rzucił się ku wyjściu. Lecz siły go opuściły i jak długi runął na progu izby ustępowej. Wśród wrzawy i tumultu sprawionego tym wypadkiem i gdy dworzanie Górki omdlałego unosili, Motruna wymknęła się z ratusza i z miasta i podążyła ku klasztorowi panien zakonnych.

(D. c. n.)

Pogadanka.

Doprawdy wierzcie mi, że należę do tych ludzi, którzy nie lubią patrzyć na smutne obrazy, a tem mniej zajmować się ich opisami.

Życie i tak niewesołe zwłaszcza też u nas, że jak tylko kto może, to rzecz prosta woli patrzeć na to, co go rozwesela, jak na to co powiększa jego boleść i smutki.

A jednak mimo tego, nikomu, a zwłaszcza też dziennikarzowi, niewolno stać w milczeniu wobec smutnych objawów społecznego żywota, pod groźbą zarzutu zaniedbywania się w swoich obywatelskich obowiązkach.

Jak tu naprzykład odwracać oczy od nędzy, która z dniem każdym, coraz to głośniej o ratunek woła. Jak śmiać się lub bawić a nienawoływać do baczności tam, gdzie trzeba wszystkie zmysły wytężać, aby złe w zarodzie zdusić.

Słyniemy śród obcych jako naród posiadający niesłychanie dobre serce.

I rzeczywiście trudno, aby nam tego przymiotu nie przyznano, jeśli rok rocznie wydajemy kolosalne summy na cele użyteczności publicznej lub filantropię.

Czy jednak to dobre serce nasze, ta ofiarność godna podziwu przynosi pożądane rezultaty o tem my sami najlepiej wiemy, spotykając się na każdym kroku prawie ze smutnemi objawami rozmaitych braków społecznych.

Weźmy pierwszy lepszy z brzega, chociażby nasze Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności, którego zarząd z zacnym swoim prezesem na czele rok rocznie łamać sobie głowę musi nad deficytem, jaki się pokazuje chronicznie w jego filantropijnym budżecie.

Niezawodnie odwołanie się do ofiarności publicznej, deficyt taki pokryje, ale czy na rok przyszły nie powtórzy się toż samo, i czy znów w przyszłości tegoż samego kłopotu zarząd mieć nie będzie.

Niezawodnie, że tak!

I powtarzać się to musi w nieskończoności, dopóki wreszcie filantropijne popędy nasze zupełnie nie ucichną, co bodajby przy dzisiejszych ciężkich czasach nigdy nienastąpiło.

Przyglądając się jednak składkom wnoszonym na rzecz filantropijnych celów, podniesiemy następujące godne zaznaczenia okoliczności.

Przedewszystkiem na listach takich figurują prawie zawsze jedne i też same nazwiska, następnie ofiarność na dany cel z początku jest bardzo wielką a potem maleje, w stosunku nieproporcyonalnym i w końcu ginie, wreszcie między składającymi ofiary, niepodobna prawie spotkać się z dodatkami małemi nieprzenoszącemi wysokości złotówki.

Fakta te mimowoli nasuwają nam porównanie ofiarności naszej z ofiarnością niemiecką, która cudów dokonywać potrafi, łata skutecznie wszelkie braki, bez wysiłku szczególnego, a całą tajemnicę tej manipulacyi stanowi systematyczność niemiecka, której główną dewizę stanowi zasada: „ziarnko do ziarnka a zbierze się miarka".

My potrafimy może nieraz z własnego grzbietu oddać koszulę ostatnią, ale nie jesteśmy w stanie zdobyć się na składanie do szpichlerza narodowego owych drobnych ziarnek, które właśnie są podstawą każdego dobrego gospodarstwa.

Dopóki też u nas nie zostanie zaprowadzony system tej groszowej systematycznej ofiarności, spotykanej wszędzie za granicą, dopóty rok rocznie nasze Towarzystwo Dobroczynności chromać będzie, mimo tego nawet jeśli się stanie zadosyć doskonałemu wnioskowi jednego z filantropów, iż instytucye finansowe, część swoich zysków zaofiarują ołtarzowi dobra publicznego.

To cośmy wyżej powiedzieli, nieznaczy zupełnie abyśmy społeczeństwu naszemu odmawiali tych przymiotów dobrego serca, jakie stanowią jego żywotność, ale wyrażamy życzenie innych kierunków i innych prądów w działaniu każdem, inaczej bowiem i najlepsze chęci na nic się tutaj nie zdadzą.

Nie! doprawdy nie, ot! wolę się rozejrzeć po szerokim świecie naszym i popatrzeć czy tam nie ma na dzisiaj jakich faktów, któreby wam jeden z dni smutku opromieniły.

Ah! są... są... patrzcie, oto ze skrzynki w szpitalu wyciąga ktoś skromną sumkę pieniędzy i zwitek papieru, na którym opisała swe życie spracowana ręka służącej.

Posłuchajcie ile ten papier, te koślawe litery mówią o tym naszym ludzie poczciwym tak mało znanym i tak źle cenionym.

W nich zawarło się życie całe uczciwej służącej, której portretu na kartach swoich niepomieszczą niezawodnie illustrowane tygodniki nasze.

a które ona tak uczciwie w swych literkach koślawych opowiedziała.

Z dzieciństwa pamiętała tylko szturchanie macochy, a od ósmego roku poszła już w służbę, gdzie ją namawiano do pobierania „koszykowego”, a którym to pokusom umiała się oprzéć przez cały czas swej pracy i mimo czego oszczędnością zdołała zebrać sobie sporą sumkę, którą po śmierci zapisała ubogim.

To fakt, który doszedł do uszów reporterskich, i który podały dzienniki, a ileż takich spełnia się w cichości, dowodząc, że tam u dołu, soków zdrowych spoczywa wiele, które nam na życie długie wystarczą.

Oto znów z ubiegłego tygodnia fakt drugi:

Jeden z zamożnych tutejszych kupców zgubił pugilares napełniony sporą sumką pieniędzy.

Dla bogatego nie czyniła ona zbyt wielkiej różnicy, dlatego stratę prędko odbolał i w ciągu dnia o niej zapomniał.

Zdziwiło go też niepomiernie to, gdy za powrotem do domu, zgubę swoją znalazł leżącą na stoliku, której odnalezienie przez szewca z podwórza zaraportował mu stróż domu.

Poszkodowany, jako właściciel domu, wiedział aż nadto dobrze o smutnym stanie finansowym szewca, nienamyślając się więc wiele, odliczył sporą sumkę i takową pod adresem owego szewca przesłał.

Stróż jednak wysłany jako posłaniec z pieniędzmi, wrócił niebawem wraz z owem znaleźnem i kartką szewca, zawierającą tych tylko kilka wyrazów: „szewc znaleźnego nie przyjmuje”.

Wielu ludzi niezawodnie wzruszywszy ramionami zawoła... a cóż to nadzwyczajnego i służąca żyjąca uczciwie i szewc nieprzyjmujący nagrody za spełnienie czynu sumienności, nie uczynili nic nad swój obowiązek. Prawda, ale jakże mało spotyka się dzisiaj ludzi tak pojmujących swe obowiązki.

To też jakkolwiek liczę się do kategoryi ludzi, niebardzo przyjaznem okiem patrzących na reporterską nacyę, to uściskałbym z nich każdego po szczególe serdecznie, ile razy sprytowi ich uda się wynaleźć takie fakta jak owej przekupki ze starego miasta, owego stróża, co cudze dzieci po świecie zbierali i kierowali na ludzi, lub ową służącę piszącą pamiętniki swej uczciwości i szewca nieprzyjmującego zapłaty za spełnienie swojego obowiązku.

Jeżeli jednak opanowywa mnie tak gorąca chęć serdecznego uścisku dla tych co umieją wyszukać i pokazać światu czyny dodatnie maluczkich, to za to pragnąłbym bardzo gorąco zmartwych powstania tych czasów monitora boćkowskiego, w których za fałszywe wieści i plotki pisano sążniste pro memoria nie na pargaminie i nie inkaustem.

Przed niedawnym czasem naprzykład puszczono w świat ploteczkę o zawaleniu się mostu.

Wieść ta, jak to już na tem miejscu miałem sposobność zaznaczyć, wywołała panikę niepospolitą, ale ostatecznie krzywdy nikomu nie wyrządziła.

W tych dniach żartowniś jakiś posunął już dalej swój dowcip, bo zawiadomił nietylko redakcye ale nawet i rodzinę pewnej warszawskiej artystki dramatycznej o zamachu jej na własne życie.

Alarm się podniósł niesłychany w rodzinie owej pani, a tymczasem nadto wesoły żartowniś najspokojniej sobie z niemądrego figla się śmieje.

Cóż czy dla takich figlarzy niewartoby sprowadzić czasy monitora?

Ze świata artystycznego dochodzą nas wieści dość zajmujące.

Najpierw Towarzystwo Muzyczne pod batutą pana Zygmunta Noskowskiego, którego przez sezon letni Niemcy we Wrocławiu z wielkim przyjmowali zapałem, urządzi cały szereg środowych koncertów, na których najpierwsze siły artystyczne polskie i zagraniczne uprzyjemniać nam czas będą swemi występami.

Następnie Towarzystwo Dobroczynności jak i Towarzystwo osad rolnych, urządzają cały szereg odczytów z dziedziny nauki i sztuki. Wreszcie teatr szykuje sporą paczkę utworów dramatycznych, na zimową kampanię dla trzech teatrów, albowiem jak twierdzą dobrze poinformowani, i stara nasza przyjaciółka sala Teatru Rozmaitości z dniem 1 grudnia otwartą zostanie. Jednem słowem sezon jesienny mamy spędzić bardzo przyjemnie i spędzimy go niezawodnie, jeźli jakieś „chaotyczne komplikacye”, jak mówi Bałucki w „Radcach” nie staną temu na zawadzie.

O. Viola.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Polacy w Syberyi. Z powodu Najwyższego manifestu, część Polaków zamieszkałych na Syberyi wraca do kraju. Okoliczność ta wywołała w organie miejscowym gazecie „Sibir” następującą ocenę działalności Polaków w tym kraju:

„Przeszło dwadzieścia lat temu, kilka tysięcy Polaków zesłano na Syberyę. Wielu z nich zmarło w kraju surowym z nędzy i braku środków do życia, jak również dzięki trudnym warunkom i otoczeniu, w których znaleźli się tutaj ci młodzi (po większej części od 17 do 25 lat wieku) i niedoświadczeni ludzie. Nawet połowa wszystkich osiedlonych w Syberyi nie dożyła do obecnych czasów. Obecnie, na mocy Najwyższego manifestu, prawie wszyscy powracają do ojczyzny. Co oni dali Syberyi? Jaki ślad pozostawią oni tutaj po sobie? Jakie wyniosą ztąd wspomnienia o ziemi naszej i o nas samych? Po przybyciu na Syberyę i po uwolnieniu z więzień i z pod ciągłego nadzoru, Polacy nie zrozpaczyli i nie rzucili się na łatwą zdobycz. W celu zarobienia środków do życia, zaczęli zajmować się handlem, rzemiosłami, a nawet czasem rolnictwem. Bardzo wiele przyczynili się do rozwoju rzemiosł i ogrodnictwa w Syberyi. Student-matematyk imał się ślusarki, farbiarstwa, stolarstwa, stawał się zegarmistrzem; obywatel wyuczał się przygotowywać i sprzedawać kiełbasy, bułki, ciastka. Wędlarnie, cukiernie i kilka innych przemysłów wyłącznie tylko Polakom obowiązane są swoją egzystencyą i rozwojem następnym w Syberyi. Przedtem nie było w Syberyi, ani restauracyi, ani kawiarni, ani podrzędnych hotelów. Do obyczajów i stosunków narodu i społeczeństwa sybirskiego, przez czas swego 20-letniego pobytu na Syberyi, wnieśli Polacy zesłańcy polityczni niektóre swe narodowe sympatyczne przymioty jako to: grzeczność, wstrzemięźliwość, takt i nadzwyczaj ludzkie, odrazu w oczy się rzucające obchodzenie się ze służącemi. Polacy bezwątpienia przyczynili się do podniesienia poziomu rozwinięcia dwóch niższych klas społecznych. Niepodobna pominąć milczeniem prac uczonych znanych naturalistów i geologów z pośród zesłanych Polaków, naprzykład, Czekanowskiego, Dybowskiego, Czerskiego i innych. Niepodobna zapomniéć również wielu lekarzy Polaków, którzy życiem przypłacili praktykę lekarską. Nazwiska Łogowskiego, Zimińskiego, Czeczkowskiego, Jarockiego i wielu innych, długie czasy jeszcze Syberya pamiętać będzie. Syberya wie o tych zasługach i umie cenić, zasługi Polaków-zesłańców politycznych. Lud syberyjski i cała społeczność będą im za to wdzięcznemi. Sybiracy narówni z Polakami witają manifest Najwyższy i na drogę do ojczyzny towarzyszą Polakom uczucia jak najżyczliwsze.”

*** W miesiącu sierpniu r. b. zmarła w Kalkucie siostra miłosierdzia, Rozalia Dymnicka. W r. 1830 wraz z rodzicami dostała się na obcą ziemię, nie mając jeszcze lat 25 i tam wstąpiwszy do zgromadzenia Siostr Miłosierdzia, pracowała nader gorliwie na Wschodzie w towarzystwach misyjnych, całkiem oddana pielęgnowaniu chorych. Otoczona powszechną czcią, padła jak żołnierz na posterunku, zaraziwszy się w lazarecie od chorych gorączką tyfoidalną.

*** “Germania” donosi, iż kardynał Howard, poznawszy w Kissingen kapłana Polaka, przyjął go na sekretarza. Wysoki ten dostojnik kościoła, od dawna polubił język polski i nietylko go rozumi, ale i mówi dość biegle. Obowiązkiem nowego sekretarza będzie ułatwianie mu czytania i dokładnego zrozumienia klasyków polskich.

*** Kilka Amerykanek założyło w San Francisco wielką drukarnię, połączoną z litografią i introligatornią, w której wyłącznie kobiety pracować będą. Dobry pomysł i praca najzupełniej odpowiednia.

*** Rzymski korespondent „Gazety Warszawskiej” podaje ciekawe szczegóły o dziękczynnem nabożeństwie, odbytem w kościele Opactwa Grottaferraty, z powodu dwóchsetnej rocznicy oswobodzenia Wiednia i całego chrześciaństwa od jarzma tatarskiego, a urządzone staraniem pewnego Polaka, potomka jednego z walczących pod Wiedniem bohaterów.

Starodawne opactwo Bazylianów położone jest między Frascati a Marino i Castelgandolfo, w polu wśród lasów, w malowniczej okolicy, u stóp wulkanicznej góry Monte-Cave. Założone w XII wieku przez św. Nila Bazylianina, słynęło w średniowiecznych dziejach Rzymu. Jest to dawna twierdza przytykająca do wioski, powstałej staraniem Bazylianów. Kościół słynie freskami Dominikina, oraz bogactwem mozaik i złoceń. Na tę uroczystość, przed odgrodzeniem greckiem ustawiono ołtarz łaciński, odznaczający się bogactwem i artystyczną pięknością. Nad drzwiami kościoła, wśród zwojów lauru umieszczono wielki napis po włosku, który podajemy w polskim przekładzie:

„Uroczyste nabożeństwo dziękczynne, z powodu dwóchsetnej rocznicy przesławnego zwycięztwa Jana Sobieskiego, króla polskiego, odniesionego d. 12 września 1683 r.”

Wnętrze świątyni oświetlone było *a giorno*, a blask światła odbijał się uroczo w złocistych mozaikach bizantyjskich, zdobiących strop i ściany. Rodzina polska zajmująca się urządzeniem uroczystego *Te Deum*, zaprosiła dwóch kardynałów, Alimondi arcybiskupa turyńskiego i Bian-

chi'ego b. nuncyusza w Hiszpanii, oraz znakomite rodziny patrycyatu włoskiego, spędzające lato w swoich okolicznych villach. Sędziwa księżna di Piombino (Ludovisi Buoncompagni) przybyła umyślnie zdaleka, aby być obecną na uroczystem nabożeństwie. Kościół i wielkie jego atrium natłoczone były ludem, zaledwie mogącym pomieścić się w świątyni. Opat infułat bazyliański O. Pellegrini, w otoczeniu zakonników i allumnów, w infule i kapie od wielkich uroczystości, przerabianych złotem i wysadzanych drogiemi kamieniami z pastorałem w ręku, wystawił Przenajświętszy Sakrament i zaintonował *Te Deum* prześlicznie odśpiewane chórem przez kleryków Seminaryum. Śpiewowi wtórowały wszystkie dzwony średniowiecznej dzwonicy, słynne z melodyi swojej i roznoszące do koła dźwiękami swemi chwałę Jana III.

Wieczorem w poblizkiej willi Muti, dawnej rezydencyi Klementyny Sobieskiej i jej synów, ostatnich ze Stuartów, którą obecnie zamieszkuje rodzina polska zamawiająca nabożeństwo, puszczono fajerwerki i zapalono ognie bengalskie, malowniczo uwydatniające stary pałac, fontanny, posągi, groty, gaiki mirtowe i laurowe oraz wspaniałe afrykańskie palmy rosnące w około wspaniałego gmachu, w którym kardynał Yorku, syn Sobieskiej, w roku 1802 po raz ostatni podejmował papieża Piusa VII i Karola Emmanuela, króla Sardyńskiego, jak o tem świadczy lapidarny napis umieszczony w pierwszej sali pałacowej. Uczęstowano sutą wieczerzą wieśniaków pracujących w willi, którzy spełniali toasty na cześć Sobieskiego.

Od dnia 14 do 16 września, w kościele Imienia Maryi, przy *forum Trajanum*, wzniesionym przez papieża Innocentego XI dla uwiecznienia wiedeńskiego pogromu, odprawiało się trzydniowe nabożeństwo z kazaniami, wystawieniem i błogosławieństwem N. Sakramentem. Podczas tego nabożeństwa wystawiono starożytną chorągiew, na której z jednej strony przedstawiony jest S. Michał depczący Turków, z drugiej papież klęczący przed obrazem Matki Boskiej i ukazujący Sobieskiemu oblężony Wiedeń.

*** Wiadomo że od lat już wielu sędziwy nasz Józef Bohdan Zaleski, dotknięty jest utratą wzroku skutkiem katarakty. Otóż donoszą z Paryża iż jeden z najznakomitszych tamtejszych okulistów, rodak nasz, doktór Gałęzowski, zapewnia, iż za parę miesięcy katarakta zasłaniająca oczy czcigodnego śpiewaka, dojrzeje o tyle, że bez obawy zdjąć ją będzie można. Tak więc, przez ostatnie lata życia, Bohdan Zaleski będzie mógł patrzeć na otaczające go ukochane kółko i na cuda przyrody, które tak żywo odczuwa i w pieśniach swoich odtwarza.

*** W strzelnicy pod Berlinem mają się odbyć próby przyrządu zwanego latającą torpedą, pomysłu inżyniera i aeronauty Rodeck'a, z Charlottenberga. Celem takiego przyrządu jest umożebnienie wojskom atakującym warownie lądowe i morskie, rzucania za pomocą balonu wielkiej ilości substancyi wybuchowych, szerzących daleko większe spustoszenie niż wszelkie miny i bomby.

Skrzynia torpedowa, zrobiona z cienkiej blachy miedzianej i uczepiona do balonu zamiast łodzi, zawiera 10 do 12 centnarów dynamitu i za pomocą przyrządu elektrycznego lub mechanicznego, może być w każdej chwili odłączoną od balonu i spuszczoną na fortyfikacye nieprzyjacielskie, w których dokonywa strasznego dzieła zniszczenia.

*** Niedługo ukończony zostanie telegraf podziemny między Paryżem a Marsylią. Drut telegraficzny ukryty w rurze metalowej, spajanej kauczukiem i ołowiem, umieszczony jest w ziemi na głębokość 1 metra i 65 centymetrów. Skrzynie metalowe, urządzone w pewnej od siebie odległości, dozwalają rewidować stan drutu i naprawiać go w razie potrzeby. Linia ta kosztować będzie około 40,000,000 franków i zostaje połączona z telegrafami podmorskiemi Atlantyku i morza Śródziemnego.

*** W Ameryce Północnej, w mieście Toledo konsekrowany został kościół św. Jadwigi, wzniesiony staraniem osady polskiej. Proboszczem jest ks. Lanckoroński, a prezesem dozoru kościelnego, Andrzej Smokowski.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Paulinie B. we Włocławku. Do „Przyjaciela Dzieci" przyjmujemy chętnie opowiadania historyczne, ale ile być może ożywione, udramatyzowane i wolne od suchego kronikarskiego wykładu.

Autorce wiersza do S. G. Podjęcie ludowej myśli bardzo szczęśliwe, ale obrobienie nie odpowiada prostocie i swobodzie jaka z podobnych utworów wieje w poezyi ludowej.

Panu Wiktorowi Ch. w Burzance. Za wiązankę wierszyków i łamigłówek nadesłanych tak do „Tygodnika" jak do „Przyjaciela Dzieci", dziękujemy bardzo pięknie, ale nie z wszystkich korzystać będziemy mogli. Rymowanie z sobą dwóch tylko wierszy i przeplatanie ich nierymowanemi, używa się dość szczęśliwie w krakowiaczkach i piosenkach lekkiego zakroju. W poważniejszych zaś, podnioślejsze malujących uczucia a więc wymagających już prawdziwego nastroju poetycznego, forma to bardzo niewdzięczna i żadnym sposobem używaną być niepowinna.

Odpowiedzi z Pracowni Ubiorów Damskich TYGODNIKA.

Pani F. G. w Janinach. Pieniądze odebraliśmy, obstalunki jak najprędzej wysłane zostaną.

Pani Maryi K...ski w Dachowie. Cieszy nas, że suknię znalazła szanowna pani bez zarzutu. Za przychylne słowa dziękujemy.

Pannie Wandzie H... Kapelusz i inne sprawunki wysłaliśmy.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою, Варшава 29 Сентября 1883 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

W DOBRYM TONIE.

Przekład z angielskiego

Przez K. P.

(Dalszy ciąg.)

Jak tylko usiedli do stołu, Katarzyna spełniając rozkaz pani, wyrwała panu z rąk półmisek, i podsunęła go mistress Donolly, ale w pośpiechu zapomniała położyć przy kotletach noża i widelca, tak że pani Donolly nie miała ich czem przekroić ani też włożyć na talerz. Frank zdumiony postępkiem Kitty, nie spostrzegł zakłopotania sąsiadki, a mistress Letycya siedziała ze spuszczonemi oczyma, z taką miną jakby ją nic nie obchodziły tak poziome sprawy. Nie zwracanie uwagi na to w jaki sposób służący wywiązują się ze swego zadania, miało być oznaką pańskości i prawdziwie dobrego tonu.

Frank tymczasem nie zważając na wymagania żony i niwecząc nakreślony przez nią program, podawał *sam* jarzynę, *pospolity* ten człowiek uważał to właściwsze niż zmuszać gości aby czekali dopóki im nie usłuży niezgrabna służąca. Gniewne spojrzenie Letycyi uwiadomiło go że popełnił wielkie przestępstwo. Biedak! on w niewinności ducha nie poczuwał się do najmniejszej winy.

Obiad, pomimo pospolitych potraw smakował bardzo gościom; jednak Letycya oddałaby chętnie dziesięć lat życia, gdyby za tę cenę mogła zamienić owe kotlety na kapłona, ser na lody, a męża na prawdziwego gentlemana. Państwo Donolly byli zadowolnieni, tym lepiej dla nich; ale siadać do obiadu o czwartej, jeść wieprzowinę!... Nie podobna już znaleźć nic gminniejszego.

— Jakże się pani podoba nasze miasto? zapytała mistres Donolly, chcąc rozruszać swą sąsiadkę.

— Dosyć... jak na tak małe miasteczko, odpowiedziała Letycya pochylając na bok głowę, zapewnie pani wiadomo że dotąd mieszkałam tylko w wielkich miastach.

— Wielkie miasta, zawołał Bryan, mogą mieć swoje powaby, ale co do mnie wolę bez porównania małe.

— Czy to być może? zawołała Letycya.

— Ja zaś odezwał się Frank zniecierpliwiony, dałbym pierwszeństwo Londynowi lub Dublinowi, ale przekładam nasze Clanmena, nad wszelkie stolice hrabstw, rojące sobie jakieś prawa do wielkości.

Letycya uniosła o tyle powieki aby przepuściły pogardliwe spojrzenie, a następnie spuściła je znowu.

— Przekładać Clanmena, rzekła wzruszając lekko ramionami.

Nie mogła darować mężowi że sam podawał jarzynę.

— Ile razy wchodzę do ciebie, rzekł pan Donolly do Franka, cieszę się że ci tak los sprzyjał co do kupna tego domu; gdybyś się spóźnił o kilka dni, byłby przeszedł w inne ręce. Masz szczęście!

— Pan to nazywa szczęściem? zapytała z trochę szyderskim uśmiechem.

— Tak pani, dom znajduje się w części miasta najodpowiedniejszej dla założenia księgarni, nie mówiąc już o mieszkaniu nie pozostawiającem nic do życzenia.

— Nic do życzenia! powtórzyła ironicznie. Nic do życzenia! Pomimo że sala jadalna mała jak naparstek, a jeden kąt salonu ścięty skośno! Nie mogłabym tu żyć nawet pare godzin, gdyby nie nadzieja że wkrótce ten dom opuszczę.

— Jakto pani!.. zawołał Donolly upuszczając widelec. Pani opuści!.. porzucić dom... pewne stanowisko!.. I Frank mógłby pozwolić!.. Cóż powiedziałby na to jego ojciec?..

— Bądź spokojny, powiedział Tippington, nie sprzedamy domu i nie wyprowadzimy się z niego.

Letycya przygryzła usta:

— Może wydawać się dogodnym temu kto nie zna dogodniejszego. Przyzwyczaiłam się do życia wytwornego, do obszernych apartamentów, tak co do liczby jak wielkości pokojów, i dlatego *hotel* Tipington wydaje mi się nędznym.

— Podług mnie salon pani jest bardzo ładny! rzekła pani Donolly.

— Dla mnie jest szkaradny!

Letycya rozgniewana na męża, postanowiła rozgniewać go także, i trzeba przyznać że jej się wybornie udało. Frank rozdrażniony, kruszył chleb drżącą ręką, a żona rzucała na niego tryumfujące spojrzenia.

— Bardzo ładny! powtórzyła. Nieforemny, okna wązkie i nizkie jak w więzieniu. Dywan pilśniowy! Ani jednej kozetki, ani jednego pufa! Przyzwyczaiłam się do czegoś innego.

— Nic to nie znaczy! zawołał Donolly śmiejąc się głośno. Przyzwyczai się pani teraz do tej *nędzoty*. Wszakże to rzecz wiadoma że można się przyzwyczaić do wszystkiego. Za kilka miesięcy zapomni pani że kiedykolwiek uszczęśliwiała swą obecnością jakieś pałace.

— Wszak, rzekła łagodnie pani Donolly, siedzieliśmy przed obiadem na bardzo wygodnych fotelach.

— Ależ to są graty! zawołała Letycya z pogardliwą minką z którą jej było bardzo do twarzy. Poręcz składa się z kawałka deski, i dwóch kijów do oparcia rąk! Musiały być zbudowane zaraz po potopie. Chyba w jakiejś fermie możnaby znaleźć podobne.

— Bo też pochodzą z fermy! zawołał Frank dotknięty do żywego. Pochodzą z domu moich rodziców, z tej fermy w której się urodziłem i wychowałem, do której się odnoszą moje najdroższe, a może i najszczęśliwsze wspomnienia. Jestem synem i wnukiem fermierów i szczycę się z tego.

— Nie wybieramy sobie miejsca urodzenia, odpowiedziała zimno Letycya, ale każdy może sobie wybrać powołanie i miejsce zamieszkania.

— Mój ojciec jest fermierem a ja księgarzem, rzekł Frank już spokojniej i zmuszając się do uśmiechu, jakby odpowiadał na jakiś żarcik. Dumny z jego zawodu, nie wstydzę się wcale mojego.

Mistress Donolly pośpieszyła zmienić przedmiot rozmowy.

— Dotąd, pani powzięła tylko wyobrażenie jak Clanmena przedstawia się w zimie, ale w lecie będzie jej pani winna nie jedną miłą niespodziankę. Zobaczy pani jakie miłe mamy przechadzki, jakie śliczne okolice!

Letycya uśmiechnęła się lekko, a potem najdystyngowniejszem ze wszystkich dystyngowanych poruszeń głową, skinęła na panią Donolly aby wstała i wyszła z nią do *szkaradnego salonu*, który jednak pomimo tak niezalecającej nazwy był wcale wygodnie urządzony. — Panowie zostali jeszcze przy butelce Sherry, orzechach i cygarach.

— Mój mąż nie będzie dziś przedłużał rozmowy, rzekła Henrieta Donolly, bo mamy jeszcze bardzo wiele roboty: on musi ekspedyować paki z winem, ja zaś napisać rachunki.

Letycya zwróciła na towarzyszkę omdlewająco zdziwione oczy.

— Jakto! pani pomaga mężowi?

— Tak, i cieszy mnie to niewymownie! Nieszczęściem, zajęcia jego są takie, że nie mogę mu być tak użyteczną jakbym pragnęła. Pani jest szczęśliwsza pod tym względem, księgarnia...

— Księgarnia!.. Miałabym zajmować się księgarnią!.. Nigdy jeszcze podobna myśl nie powstała w mej głowie.

— Nigdy! Wybacz pani, ale nie mogę temu uwierzyć. Jestem pewną że pani jest bardzo miłą i użyteczną...

— Użyteczną! przerwała Letycya prawie z oburzeniem.

— Idąc za mąż, mówiła dalej Henrieta, pisałam jak kura. Sprawiało mnie to niewysłowioną przykrość, bo wiedziałam że Bryan nie pozwoliłby mi napisać nawet jakiejś kopii, a zatem nie mogłabym dopomódz mu w niczem. Nie chcąc aby tak pozostało na dal, kupiłam sobie wzory pisma i wprawiałam się tak długo i gorliwie, że obecnie mąż nazywa mnie żartem, swoim pomocnikiem.

Letycya słuchająca tych dziwnych dla siebie słów jak odurzona, spuściła oczy, potem podniosła je w górę i rzekła.

— Niech mnie Bóg uchroni od czegoś podobnego.

— Jakto? nie rozumiem pani!

— Pani może się tem zajmować... pan Donolly pracuje w swym gabinecie... ale ja!..

— Jeszcze nie rozumiem, powiedziała pani Donolly.

— Miałabym stać *w sklepie* za kantorem! posługiwać kupującym! Nie miałam nigdy zamiaru pójść za właściciela handlu.

— Ale pani poszła! zawołała wesoło Henrieta.

— Ah! mistress Donolly! zawołała Letycya wyciągając ręce jakby błagała o litość.

— Tak, *zaślubiła go pani*, rzekła znów Henrieta, kładąc nacisk na każdem słowie. Potem dodała z miłym uśmiechem: i jestem pewna że pani potrafi spełnić swe obowiązki.

— Oh! mistress Donolly! zawołała znów Letycya silnie zarumieniona, nie po to poszłam za mąż, aby spełniać jakieś obowiązki!

III.

Rozmowa.

Ostatnie słowa Letycyi dostarczyły wątku do poważniejszej rozmowy. Pani Donolly odurzona niemi chwilowo, rzekła po chwili milczenia:

— Bądź co bądź, pani poszła za mąż i masz pewne obowiązki.

— Czy mam je w istocie? zapytała Letycya otwierając szeroko oczy.

— Mamy je wszyscy. Co pani powtarzała ucząc się katechizmu?

— Katechizmu? Co powtarzałam? Doprawdy nic sobie nie przypominam.

— Zobowiązywała się pani spełniać swe obowiązki bez względu na to w jakiem położeniu podoba się postawić panią.

— Tak, przyrzekałam na to, ale wiadomo pani że katechizm jest ułożony dla dzieci, których jest obowiązkiem czynić co im każą. Ja nie potrzebuję już stosować się do jego przepisów. Zresztą już tak dawno, tak dawno przestałam uczyć się katechizmu.

— Myślę że nie tak bardzo dawno.

— W każdym razie nie podpada wątpliwości że już go się nie uczyłam gdy Frank oświadczył się o mnie, odpowiedziała Letycya wybuchając śmiechem.

— A konfirmacya? zapytała poważnie mistres Donolly.

— Przystępowałam do niej trzy lata temu będąc jeszcze na pensyi. Miałam śliczną białą suknię, zrobioną według mego gustu, a głowę uczesaną gustownie pokrywał tiulowy welon spadający aż do kostek. Czy wie pani co powiedział półgłosem jeden z obecnych, dodała zarumieniona.

— Cóż takiego?

— Powiedział: (był to piękny i młody oficer) „Jaka to zachwycająca osóbka!" Pani sądzi niezawodnie że jestem próżna jak paw', ale działo się to już tak dawno, byłam prawie małą dziewczynką.

— Język pochlebny zawiera w sobie jad niebezpieczniejszy niż żądło żmii, szepnęła Henrieta.

— Ba! jeśli ktoś jest ładnym prędzej czy później musi dowiedzieć się o tem, a wnosząc z własnego doświadczenia, sądzę że to następuje zwykle dość wcześnie.

— Nie ma w tem nic złego jeżli ktoś wie że jest ładnym, byle nie myślał o tem wiele.

— Tak krótko możemy się tem cieszyć!

— Bezwątpienia, kobieta zamężna myśli przedewszystkiem o mężu, rzekła Henrieta, o tem aby mu się podobać, aby go uszczęśliwić, wszak prawda?.. A w takim razie, nie ma już czasu zachwycać się sobą.

— Tak pani sądzi? A czy ci panowie nie zaciągają także względem nas pewnych obowiązków? Czy nie mają obowiązku starać się o to aby się nam podobali? Czy każden z nich nie powinien być mężem dobrym, uprzejmym, troskliwym i kochającym? Słowem pozostać tem czem się okazywał usiłując schwytać nas w swe sieci!

— My nawzajem... odezwała się Henrieta.

— Podług mnie, przerwała Letycya wstrząsając ładną główką, bez względu na niebezpieńczeństwo zagrażające nastroszonej fryzurze, podług mnie, mąż ma prawo tego tylko wymagać od żony aby była zadowolnioną.

Henrieta roześmiała się mimowolnie.

— Prócz obowiązków względem męża, odezwała się po chwili, mamy jeszcze obowiązki wypływające z naszego położenia. Nie jesteśmy wielkiemi paniami, ciążą na nas zajęcia — prozaiczne, jeżli pani tak uważa, których wszakże zaniedbanie pociągnęłoby za sobą równie opłakane skutki, jak w razie gdyby nasi mężowie tracili czas w klubach, polowali na lisy, zakładali się na wyścigach, i... i zapominali zupełnie o swych obowiązkach.

— Obowiązki! obowiązki! Czy istnieje na świecie wyraz nieznośniej nudny! Zdaję mi się że skoro już mam te jakieś obowiązki, to je spełniam jak inni; ale jestem młoda i poślubiłam młodego człowieka... Obowiązki! Mam ich wyżej uszu: dom, toaleta, wizyty!.. Chcę używać życia, korzystać z młodości, nie upadając pod ciężarem obowiązków! Obowiązki spełniają się same przez się!

— Wybacz pani jeżli nudzę, odezwała się łagodnie Henrieta, ale jesteś żoną jednego z najdroższych nam przyjaciół, i pragnę gorąco szczęścia tak jego jak pani.

Letycya nic nie odpowiedziała, ale Henrieta dostrzegła w tej chwili w jej oczach wyraz nie dozwalający wątpić że i ona także kocha Franka szczerze i głęboko.

— Myślałam zawsze, odezwała się po pewnym czasie, że zaślubię człowieka należącego do wyższych sfer społeczeństwa.

— Pani poszła za mąż tak młodo, że nie mogła długo myśleć o tem.

— O! tak bardzo młodo, zaledwie skończyłam lat ośmnaście! Mówiąc to, mistress Tippington wyprostowała się dumnie. Piękna to rzecz iść za mąż w dziewiętnastym roku życia! Łucya O'Brian, Katarzyna Lanens, doszły już do dwudziestu pięciu, a dotąd nie mają choćby narzeczonych! Tamy Kemble dopiero w trzydziestem roku poszła za mąż, a Małgorzata Jones z pewnością zostanie starą panną!

— Więc pani postanowiła pójść za mąż nie wybierając, byle prędko?

— O! nie, bynajmniej! Nie byłabym poszła za nikogo, nawet za króla, gdybym go nie kochała! rzekła Letycya z uczuciem.

Tak, nie podpadało wątpliwości, Letycya kochała Franka z całym zapałem młodego serca.

— Nie ma nic piękniejszego, świętszego nad miłość! rzekła poważnie, zdziwiona i wzruszona Henrieta. Nie jestże to widocznym dowodem dobroci Stwórcy że ją wlał w nasze serca!

Teraz znów Letycya otworzyła szeroko zdumione oczy.

— Jakiż to dziwny sposób zapatrywania się na tę kwestyę! zawołała.

— Dziwny?

— Bezwątpienia! Każdy wie o tem że Bóg daje nam wszystko, ale tak panowie składający nam hołdy, jak my przyjmujące je od nich, nie mamy nic podobnego na myśli!

— A jednak takby być powinno.

— Myśléć o niebie z powodu że kochamy i jesteśmy kochani.

— W takim razie, po co szukalibyśmy błogosławieństwa ślubnego w kościele?

— Po co? bo tak każe zwyczaj, którego wszyscy się trzymają.

— A dlaczego wszyscy tak czynią? pytała dalej pani Donolly. Po co te obrzędy, modlitwy, to uroczyste zobowiazanie.

— Bo taki jest przepis kościoła.

— A czemu jest taki przepis?

— Nie wiem tego, rzekła Letycya po krótkiem namyśle i co prawda, nigdy nie namyślałam się nad tem! Na coby mi się to zdało? Wiem że ślub bierze się w kościele, że ceremonija jest bardzo ładna; cóż mi więcej trzeba?

— Czy pani czytała kiedy to co Biblia mówi o małżeństwie?

— Biblia?.. czy tam znajduje się coś takiego?

Mistress Donolly skinęła twierdząco głową.

— W takim razie czytałam... prawdopodobnie.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Mistress Donolly! zawołała Letycya, wszystko mi się zdaje że jesteś *straszliwie* pobożną! zupełnie, ale to zupełnie jak Frank. Przed ślubem nie domyślałam się wcale tego; wprawdzie głosił czasem jakieś niezrozumiałe dla mnie zdania, na które też nie zwracałam prawie uwagi, ale skorośmy tu przyjechali, zaraz pierwszego dnia wieczorem przywołał Kitty, otworzył Biblię, przeczytał cały rozdział i odmawiał tak długie, tak długie modlitwy, że o mało nie usnęłam.

— Biedne dziecko! szepnęła Henrieta, a potem dodała głośno: Czy w domu ojca pani nie modlono się wspólnie.

— W domu mego ojca? bynajmniej. Nie widziałam także nic podobnego u jego siostry, mojej ciotki, jakkolwiek była to osoba nawzwyczaj dystyngowana! Ale to mnie dziwi że tak pani jak Frank nie wyrażacie się jak ludzie nazywani pobożnymi. Pani mnie rozumie? Wypowiadający z miną sztywną zdania zakończone zwykle ustępem z Biblii, i wzdychające ciągle nad przewrotnością i zepsuciem rodu ludzkiego. Z tego właśnie powodu nie domyślałam się że Frank jest pobożnym.

— Zawdzięcza to swym rodzicom, najzacniejszym ludziom i najgorliwszym chrześcianom.

— Najzacniejszym!.. Gorliwym chrześcianom!.. O! tak, bezwątpienia! rzekła z uśmiechem Letycya.

— Niczego tyle nie pragnę, jak być do nich podobną, gdy wraz z Bryanem dojdę do ich wieku.

— Być do nich podobną! O! wyznaję że trzy dni przebyte w ich fermie, odjęły mi zupełnie do tego ochotę. Najprzód przeraża mnie już sama myśl że się kiedyś zestarzeję, a powtóre, jakież tam życie, jakie zatrudnienia, jakie gminne zwyczaje. Jakże tam wszystko różne od tego do czego nawykłam.

Letycya mówiąc to, przybrała najwymuszeńszą postawę na jaką mogła się zdobyć.

— Czy i pan Donolly jest pobożny zapytała nagle.

— Jest stokroć lepszym odemnie.

— A czy inni mieszkańcy Clanmena, są równie wzorowemi chrześcianami? zapytała niespokojnie Letycya.

— Nie sądźmy nikogo, odpowiedziała z uśmiechem Henrieta. Jedni są gorsi, drudzy lepsi, ale miejmy nadzieję że wkrótce wszyscy pójdą dobrą drogą.

— Bądź co bądź, dziwi mnie to, że pani pomimo swej pobożności, utrzymuje dom tak pięknie, zaprasza przyjaciół na tak wyborne obiady. Nigdy nie przypuściłabym nic podobnego.

— Wystrzegam się jedynie zbytku, i nigdy nie przebaczyłabym go sobie. Koszta naszego utrzymania są znacznie mniejsze od naszych dochodów.

— Doprawdy! A na cóż służą pozostałe pieniądze.

— Mój mąż uważa za rzecz właściwą odkładać co rok pewne części dochodów na wsparcia mniej uposażonych niż my sąsiadów... nie licząc innych dzieł filantropijnych. Jestto dla nas jakby nietykalny depozyt, którego nie użylibyśmy nigdy na własne wydatki. Jeżli rachunek któregoś z dostawców przechodzi zakreślone granice, zmniejszamy nasze wydatki w następującym miesiącu, i następnie wszystko jest w porządku.

— O! w takim razie moja ciotka postępuje zupełnie inaczej, wydaje wszystko, do ostatniego szylinga, ale nie zdoła pani sobie wyobrazić jakie to świetne sprowadza następstwa. Nie posiada wielkich rzeczy, a jednak jak umie olśniewać oczy!.. Sześć tygodni nad brzegami morza, wykwintne toalety; salon... grande dame, nakoniec chłopiec przebrany za pazia! Skoro wróci do siebie, chleb i orzechy stanowią jej główne pożywienie, ale jeżli ktoś do niej przyjedzie, wszystko zmienia się w jednej chwi-

li! przyjmuje gościa świetnie, i dlatego jest uważaną za milionerkę.

— Podobne życie byłoby dla mnie męczarnią. Nie wiodłabym go za żadną cenę.

— Dla mnie jestto ideał szczęścia! z wyjątkiem suchego chleba i orzechów. Chciałabym aby wszystko u mnie było okazałe i w dobrym tonie. Niestety dodała pochylając głowę, mało osób posiada majątek, dozwalający im prowadzić takie życie jak ludzie dystyngowani!

Frank i Bryan weszli do salonu.

— Musimy już wracać do domu, Henrieto, rzekł Bryan, a następnie dodał zwracając się do Letycyi: Wiem że to jest bardzo niegrzecznie odchodzić tak zaraz po obiedzie, ale mam nadzieję że pani zechce nam to wybaczyć, przez wzgląd ze jesteśmy poniekąd niewolnikami naszych interesów. Ja przynajmniej, równie jak Frank, nie pozwalam sobie zaniedbywać ich dla przyjemności.

— Co do mnie, odpowiedziała Letycya z pogardliwą minką, nie mam najmniejszego wyobrażenia o interesach.

— Ale moja żona rozumie je doskonale, odpowiedział zimno Donnoly. Dopomaga mi gorliwie, i nie wiem doprawdy coby się stało ze mną bez tak nieocenionego pomocnika.

Silny rumieniec wystąpił na rozpromienioną twarz pani Donoly, i w tej chwili była prawie tak ładna jak Letycya.

— Jestto zwykła piosnka mężczyzn! rzekła Letycya strojąc minki. Każden z nich nie wie coby się z nim stało bez jego żony; a przynajmniej każden powtarza to jej którą chce namówić aby została jego żoną. Co do pomocy w księgarni, Frank nie żądał jej nigdy odemnie.

— I teraz jej nie żądam także, powiedział Frank.

— Nie widziałbym w tem nic złego, mój kochany Franku, gdyby żona wyręczyła cię czasami w księgarni, ale nie idzie tu wcale o sklep lub księgarnię, jest mnóstwo innych zajęć w których żona może wyręczać męża. Wszak moja żona nie sprzedaje w sklepie Madery lub Porto. Ha! ha! ha!

Śmiech Bryana nie rozbudził echa w salonie. Frank słuchał poważnie, a Letycya zdawała się obrażoną.

— Daj spokój, Bryanie, zawołała wesoło Henrieta. Rzymianie nie w jednym dniu Rzym zbudowali, jak to mówił zwykle mój ojciec. Ja także nie pisałam rachunków w dziewiętnastym roku życia.

— A ja nigdy ich pisać nie będę, zawołała prostując się Letycya.

— Czy tak?

— Pragnę wznosić się a nie spadać!

— Spadać?

— Uwięzić się między kantorem a szafą z towarami, zamiast porzucić sklep, rachunki i klientów, jestto dla mnie spadać! Nie mam obecnie najmniejszej ochoty dobijać się o tytuł kupcowej, i nie nabędę jej w dwudziestym piątem roku życia. Jeźli dożyję do tego wieku nie będziemy już mieszkać nad tym sklepem, ale w pięknej willi wśród ogrodu otoczonego żelaznemi sztachetami, z mieszkaniem dla odźwiernego przy bramie, a gdy master Tippington pojedzie do miasta za interesami, to w swem własnem tilbury i własnemi końmi!

Letycya wyprostowana dumnie, rzucała koło siebie tryumfujące spojrzenia. Frank spuścił głowę i ukradkiem spoglądał na śmiejącego się Bryana, który zawołał gdy skończyła.

— Brawo, mistress Tippington! Niech żyje ambicya! Ona najprędzej prowadzi do celu. Tylko jak już mówiliśmy, Rzymianie potrzebowali więcej nad jeden dzień na zbudowanie...

— Rzymu! przerwała Letycya, uderzając niecierpliwie drobną nóżką o podłogę.

— Rzymu, powtórzył spokojnie Donolly: Otóż ośmielam się objawić to przypuszczenie, że gdyby panie Rzymianki chciały im dopomagać według sił swoich, budowa Rzymu nie trwałyby wiek cały!

Bryan pożegnał Letycyę nie zwracając uwagi na jej zadąsaną minkę, i uścisnął rękę Franka, a Henrieta całując młodą gosposię, szepnęła: Niech pani przyjdzie do mnie jak najprędzej! Może jutro przed południem czy zgoda?

— Jakże pani jest dobrą i uprzejmą, odpowiedziała Letycya przymrużając oczy, że mi pozwala abym ją odwiedziła w porze nie zgadzającej się z przepisami dobrego tonu.

— Z czem?.. zapytał Bryan z udanem źdźiwieniem.

— Będę korzystać z pozwolenia; dodała śpiesznie Letycya.

Państwo Donolly wracali do domu prowadząc się pod ręce jak zgodne i szczęśliwe małżeństwo. Frank ścigał wzrokiem aż dopóki nie zniknęli mu z oczu a potem odezwał się:

— Czy można gdzie znaleźć lepszych i zacniejszych ludzi.

Letycya skrzywiła usta.

— Ona, tak, w istocie. Ma swoje dziwactwa, zupełne dziwactwa, ale tak dystyngnowana! Jestto jedna z tych kobiet którem uchodzą różne śmieszności z powodu że mają wiele dystynkcyi. Wszak rozumiesz mnie?

— A jakże ci się podoba szczere, otwarte, zachowanie się Bryana?

— Nie bardzo, odpowiedziała krzywiąc się więcej jeszcze.

— Dlaczego?

— Ponieważ... A więc, tak! Może być dobrym kolegą, wiernym przyjacielem, uczciwym kupcem, wierzę temu na słowo, ale jeżeli nie jestem zdolną ocenić, według ich rzeczywistej wartości, przymiotów potrzebnych dla kupca, to wiem doskonale jakie są niezbędne dla gentlemana. — Frank zmarszczył brwi. — Otóż nie można do nich zaliczyć szorstkości, a zachowanie się pana Donolly, jest szorstkie, nad-zwy-czaj szorstkie, żeby już nie nazwać go grubiańskiem.

— Szorstkie, grubiańskie, nie dostrzegłem tego nigdy; ale to wiem że nikt nie może być godniejszym szacunku nad Bryana Donolly, i że szanuję go więcej nad innych.

— Nie masz o co gniewać się... ani też krzyczeć rzekła wzruszając ramionami.

— Nie gniewam się ani też nie krzyczę.

— Doprawdy!.. A ja sądziłam... Dziwna pomyłka!.. odpowiedziała ironicznie.

— Strzeż się Letycyo! — Potem dodał łagodniej: nie mówmy już o tem, moja droga. Jestem dziś niezadowolniony z ..

— Niezadowolniony? Ty Franku? Z czego przez litość?

Oczy Letycyi zwrócone na odbijającą się lustrze jej własną postać, zdawały się mówić: Jakimże sposobem mąż tak zachwycającej istoty może być niezadowolonym.

— Muszę ci powiedzieć, mówił dalej Frank, że dzisiejszy obiad... nie odpowiadał zupełnie memu życzeniu!

— Jakto? pomimo że miałeś swe ulubione kotlety wieprzowe! rzekła Letycya wznosząc oczy do sufitu, jakby się skarżyła przed nim na niewdzięczność mężka.

— Bierz licho kotlety! nie o to mi idzie. Obiad sam przez się był wyborny, ale lubię czystość i porządek, do którego przyzwyczaiła mnie matka. Otóż ten obrus zaplamiony!..

— Po co też zapraszasz gości tak niespodziewanie. Jeźli obrus jest brudny, to nie mogę go uprać w jednej chwili.

— U mej matki...

Letycya zasłoniła sobie co prędzej uszy rękami.

— Przez litość, nie dręcz mnie temi wspomnieniami z rodzicielskiego domu! Pomimo wszelkich cudow jakie mi opowiadasz, i u twej matki brudne obrusy nie mogą stać się czystemi dopóki ich nie upiorą.

— Mamy sześć obrusów. Wiem o tem dokładnie, ponieważ sam je kupiłem i zapłaciłem. Rachujmy że jeden na tydzień służy do nakrycia stołu, dwa u praczki, pozostaje więc na wszelki wypadek jeszcze trzy czyste w szafie.

— Trzy obrusy czyste w szafie! czekające tam na wszelki wypadek! zawołała Letycya śmiejąc się ironicznie. To zakrawa na bajki opowiadane dzieciom. Już to mężczyźni są wyborni gdy usiłują rozstrzygnąć jednem słowem najzawilsze kwestye gospodarstwa domowego.

Frank odurzony słowami żony stracił pewność siebie.

— Nie rozumiem, rzekł nieśmiało, co tak niedorzecznego powiedziałem. W każdym razie zapraszać przyjaciół do stołu przykrytego zatłuszczonym obrusem, jest rzeczą nieprzyjemną... i niewłaściwą.

— A dla mnie zdaje się rzeczą bardzo niewłaściwą i nader nieprzyjemną słuchać ciągłych wymówek, nie módz zadowolnić nikogo, i niepodobać się wszystkim!

Letycya zaczęła się dąsać, a trzeba przyznać, że była tak śliczną z zadąsoną minką, że biedny Frank zaczął poczuwać się do winy.

— Ty, kochanie moje, miałabyś nie podobać się komuś? Miałby ci kto przyganiać? Przeciwnie, wszyscy przepadają za moją śliczną żoneczką.

— Aby uwierzyć temu trzebaby nie widzieć i nie słyszeć.

— Nie widzieć? nie słyszeć? Kogo? Czego?

— Ciebie.

— Mnie? Cóż takiego uczyniłem?

— Co uczynił! zawołała wznosząc oczy z bolesnem westchnieniem. On się pyta co uczynił!

— Słuchaj, Letycyo, pomówmy rozsądnie. Sama wiesz o tem, moja droga, że... lubisz wyrażać się pogardliwie o wszystkiem co cię otacza, starasz się okazać że nic nie odpowiada twemu życzeniu, nie jest dość modnem, dość eleganckiem, dość dystyngowanem dla ciebie... Powiedz sama, czy to może być przyjemnem dla męża?

— Ja tak czynię, ja? Nigdy!

— Prawie co chwila, Letycyo.

— Ty, przeciwnie, jesteś ze wszystkiego niezadowolnionym.

— Ja! zawołał zdumiony Frank. Nie, oświadczam najwyraźniej że sklep, pokoje, salon, kuchnia słowem wszystko odpowiada mojem życzeniom, i że poprzestałbym zupełnie na tem, gdybyś tak z góry nie spoglądała na sklep, kuchnię pokoje i salon!

Letycya zamyśliła się, a następnie rzekła:

— Wiesz o tem że nie przypuszczałam nigdy abym mogła zostać żoną kupca.

— Na to już nic nie mogę poradzić. Oddałaś mi rękę wiedząc że jestem księgarzem; już tego nie można zmienić.

— I ja tak sądzę.

— A więc w takim razie, czemu moja droga, nie wyciągnąć z naszego położenia wszelkich korzyści jakie dać może, zamiast widzieć same ujemne jego strony. Wszak już przyznałaś to kiedyś, że w ostateczności, księgarnia może ujść za coś... *dystyngowanego?*

Ostatni wyraz z trudnością wysunął się z ust Franka.

— A czy mówiąc to nie czyniłam wielkiego ustępstwa? Czy nie przedstawiłam sobie naszego położenia w najkorzystniejszem świetle?

— Prawda, ale...

— Ale! jeszcze ale! Ale co takiego? Wyliczaj dalej swe zażalenia.

— Ale, dodał ciszej Frank, zdaje mi się że Bryanowi nie spodobał się twój sposób wyrażania się o moim zawodzie.

— Doprawdy? Jakież to straszne nieszczęście! Co się z nami stanie! zawołała z udanem przerażeniem. A więc powiem ci także (tylko nie wyjawiaj tego nikomu) że i mnie nie podobało się to co pan Donolly mówił o twoim kupieckim zawodzie. Że mi się to nie podobało bardzo, bardzo!

— Mowił tak jak powinien mówić, odpowiedział Frank stanowczo. Bryan wie na jakie poświęcenie musiał się zdobyć mój ojciec, abym mógł zamieszkać i założyć księgarnię w Clanmena. Wie jak korzystnem było kupno tego domu. Wie że zdobyłem stanowisko jakiego człowiek w mojem wieku i w mojem położeniu zaledwie mógł się spodziewać. Ale skończmy, dosyć już mówiliśmy o tem.

— Tak, skończmy, powtórzyła Letycya, a potem dodała zwracając na męża figlarne spojrzenie: O święta księgarnio! święty zawodzie! święty Donolly! przez litość, niech o was nie słyszę choć przez godzinę. Ty zaś, Franku, jeźli masz trochę miłosierdzia nademną, przynieś z księgarni jaką najświeższą powieść, i czytaj mi ją głośno ja zaś będę tymczasem haftować dla ciebie pantofle. Czy słyszysz, mój panie, dla ciebie... Wtenczas.. wtenczas, pomyślę może iż pożycie małżeńskie zbliża się trochę, ale tylko trochę, do tego jak przedstawiałam je sobie w moich marzeniach.

Letycya zwróciła do męża śliczną twarzyczkę, ożywioną uśmiechem swobodnym, pieszczotliwym, zalotnym. Cóż mógł uczynić młody mąż, jeźli nie uściskać żonę przeprosić ją i być posłusznym?

W pięć minut później, Frank siedząc na starym fotelu, pochodzącym z fermy, z najświeższą powieścią w ręku, zapomniał o wszelkich przykrościach i czuł się zupełnie szczęśliwym.

IV.

Druga para.

Gdy państwo Donolly wrócili do domu, Bryan usiadł i zamyślił się głęboko. Jego brwi zmarszczone i zaciśnięte usta, dozwalały domyśléć się Henriecie że myśli męża nie były wesołe. Położyła rękę na jego czole i zapytała z czułą troskliwością:

— Co ci się stało?

— Co mi się stało? Nic, tylko mnie to martwi że Frank, pomimo swego rozsądku, postępuje jak skończony głupiec!

— Ah! Bryanie.

— Tak, powtarzam, jak głupiec, i do tego skończony, bo inaczej nie zaślubiłby tego zbytku przesady, próżności i pretensyi do pańskości! Czy nie widziałaś jak ta piękna pani sznuruje usta gdy raczy wspomnieć o czemś tak wstrętnem dla niej jak sklep. Sklep! Ona go nie warta! Chciałbym włożyć tej jasnej pani w jedną rękę miotłę a w drugą rondel, i niechby służyła gdzie do wszystkiego przez całe dwa lata, a potem zapytałbym jej co woli, czy służyć tak dalej, czy królować w sercu, domu i sklepie tak zacnego człowieka jak Frank Tippington.

— Taka ładna!

— Nie przeczę, ale piękność nie ma tu żadnego znaczenia. Jeźli komuś przyjdzie ochota wybrać sobie żonę dla jej pięknej twarzyczki, i dostanie taką lalkę jak ta o której mówimy, to nie warto go żałować! Słuchaj, Henrieto, mowił dalej Bryan z ożywieniem, ty, z twoją łagodną i miłą twarzyczką jesteś dla mnie bez porównania piękniejszą od tej woskowej figurki, a jednak nie swą powierzchownością podbiłaś moje serce. Nie, do tego trzeba było czegóś więcej jeszcze.

Radosny uśmiech rozpromienił rysy Henriety.

— Cóż więc takiego? zapytała.

— Co takiego? Zaraz ci to powiem, moja najdroższa. Nie mogę zaprzeczyć że moje serce zaczęło bić silniej zaraz przy pierwszem spotkaniu z istotą tak miłą i pociągającą, pomyślałem że twoja obecność rozweseliłaby moje samotne domowe ognisko, że jakieś ciepłe, dobroczynne światło opromieniłoby moje życie! Nie poprzestałem jednak na tem chciałem znaleźć prawdziwą kobietę otworzyłem więc oczy i uszy, patrzyłem i słuchałem. Wiedząc jak jesteś uprzedzającą dla starego ojca, uprzejmą dla opryskliwego brata, troskliwą o małe siostrzyczki, zapominającą o sobie a dbałą o innych i przy tem zawsze wesołą, swobodną, pokochałem cię, Henrieto z całej duszy, prosiłem o wzajemność, i... i uważam za szaleńca tego kto zamiast kobiety zaślubia rumianą i białą maseczkę!

— Ale kochałeś mnie? rzekła z uśmiechem zarumieniona Henrieta.

— Czy kochałem! Powiedz sama czy mogłem nie kochać ciebie? Teraz jeszcze przejmuje mnie dreszczem wspomnienie tych dni w których dręczyła mnie ta niepewność czy usłyszę tak z ust twoich. Odpowiedź odmowna byłaby na zawsze złamała me życie. Obawiając się tego oddalałem stanowczą chwilę, ale przywykły działać stanowczo, powidziałem sobie w końcu: Odważnie Bryanie, idź śmiało do celu! Udałem się do ciebie, i...

— I wiemy już resztę! zawołała Henrieta, zamykając pocałunkiem usta męża. Bryan podniósł ją w górę jak piórko, oddał za jeden dwadzieścia pocałunków, posadził na kanapie, i dodał złośliwie oglądając się w koło:

— Jakie to szczęście że w tym pokoju wszystkie ściany są proste! Powiedz mi, Henrieto, czy poszłabyś za mnie gdyby ten pokój w jednym rogu, był ścięty skośno?

— Nie bądź tak złośliwym, mój panie! Znajdzie się więcej dobrego w tej młodziutkiej mężatce, niż to sobie wyobrażasz. Nie zapominaj że ma zaledwie dziewiętnaście lat.

— Przeżyła więc już tyle dni, miesięcy i lat, że może być użyteczną mężowi, lub go zrujnować.

— Wierz mi, Bryanie że w jej spojrzeniu maluje się niekiedy głębokie uczucie. Kocha Franka z całego serca, on zaś jest człowiekiem rozsądnym i pełnym taktu, powoli wpłynie na żonę, i potrafi ją wprowadzić na właściwą drogę.

— Być może, ale obecnie ona nim kieruje, a on jej słucha. Na co też to może się zdać takie dystyngowane stworzenie?

Donolly mówiąc to przybrał omdlewającą postawę, cedził słowa, mrużył oczy, szrubował usta, słowem tak dobrze naśladował miny mistrese Tippington, że Henrieta pogroziła mu wprawdzie palcem, ale nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

— Nie ma się z czego śmiać! zawołał Bryan. Żal mi szczerze Franka, gdy pomyślę że dostał się w ręce takiej marionetki.

Trudno to jeszcze powiedzieć, rzekła Henrieta, które z nich ma przewagę. Bądź cierpliwym, Frank posiada charakter silniejszy, i ma więcej wytrwałości niż Letycya, dla czegóż więc nie miałby zapanować nad nią?

— Dlaczego? Bo on jest tylko mężczyzną, a żona jego kobietą! odpowiedział przybierając postawę pokornego niewolnika, drżącego przed swym panem.

— Powiedz mi, Bryanie, czy to się godzi być tak nielitościwym? wydawać sąd tak surowy na mocy kilku słów wyrzeczonych przez kobietą bardzo młodą, nie przywykłą jeszcze do swego położenia, i...

— I nieforemnego salonu! No! no, Henrieto, nie łaj mnie już, cofam mój weredykt! Ale nie cierpię przesady, nie mogę znieść gdy ktoś przybiera jakieś tony, a drażniło mnie to tem więcej że te wszystkie brednie i niedorzeczności, nie mogły być miłe Frankowi, i stawiały go nawet w śmiesznem położeniu.

— Umiał jednak stanąć w obronie rodziców i fermy w której się urodził, to dowodzi że pomimo przywiązania do żony, nie będzie dla niej zbyt pobłażliwym.

— Frank miałby się wstydzić matki lub ojca, albo pozwolić aby ich lekceważono! Nie, tego się obawiać nie można! I gdyby tej pani przyszła ochota wystąpić przeciwko nim, znalazłaby tak twardy orzech do zgryzienia, że z pewnością połamałaby na nim swe białe ząbki. Ale czy nie roztrwoni ciężko zapracowanych pieniędzy, na wille, powozy i zbytki!.. Nie ręczyłbym za to.

— Nie lękaj się. Wszystkie młode dziewczęta marzą o zaczarowanych zamkach, a następnie są zadowolone z tego co mieć mogą.

— Czy moja rozsądna Henrieta bawiła się podobnemi marzeniami?

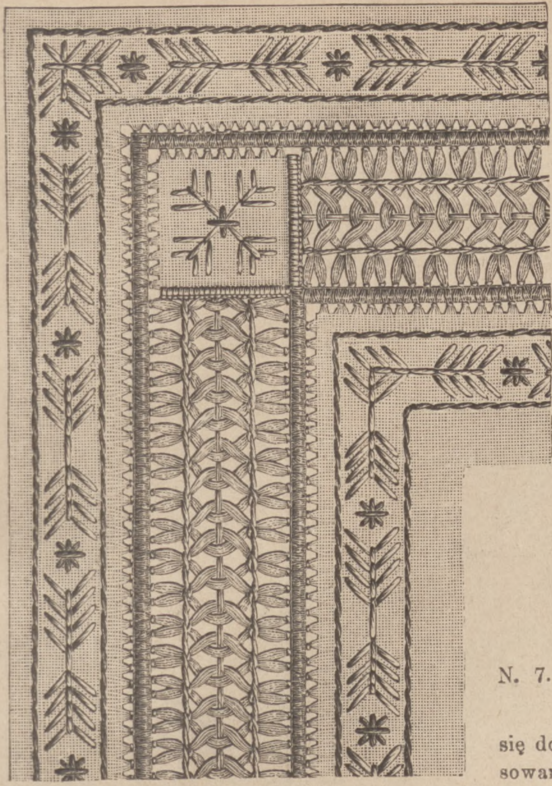
— Ma się rozumiéć. Przedmiotem ich był śliczny, oszklony balkon przybrany kwiatami, i... wycieczka do Londynu.

— Kochanie moje, spełnią się twoje marzenia!— Bryan mówiąc to uderzył w stół dłonią. — Prędzej czy później będziesz mieć balkon i kwiaty, a skoro tylko znajdę parę tygodni wolnego czasu pojedziemy razem do Londynu.

— Niechże kto powie, zawołała Henrieta rzucając mu się na szyję, niechże się kto ośmieli powiedzieć, że nie jesteś najlepszym ze wszystkich mężów na świecie!

W kilka minut później, Henrieta z robotą w ręku, i piszący obok niej Bryan, przedstawiali obraz najszczęśliwszej pary w Irlandyi. Uścisk ręki, spojrzenie zamienione od czasu do czasu, uprzyjemniały pracę. Bryan czuł obecność kochającej żony wtenczas nawet gdy oczy jego były przykute do szeregów cyfr, błoga radość napełniła jego serce, i dziękował Bogu za swoje szczęście.

(D. c. n.)



N. 2. Szlak z narożnikiem. Kratka ażurowa i haft ściegiem luźnym na płótnie.

Opis do N. 41.

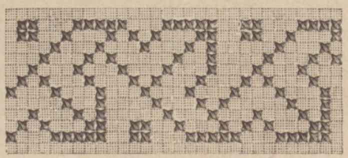
(Dokończenie.)

N. 21. Płaszczyk jesienny z chusteczkowem przybraniem. Krój na arkuszu N. X, fig. 44—47.

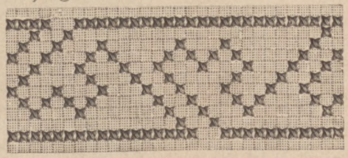
Uszyty z sukienka ciemno-zielonego, ma około szyi przybranie chusteczkowe 9 cent. szerokie, przedłużone aż do paska i zwężające



N. 1. Spódnica z turniurą. Krój na dodatku z formami N. VII, fig. 28.

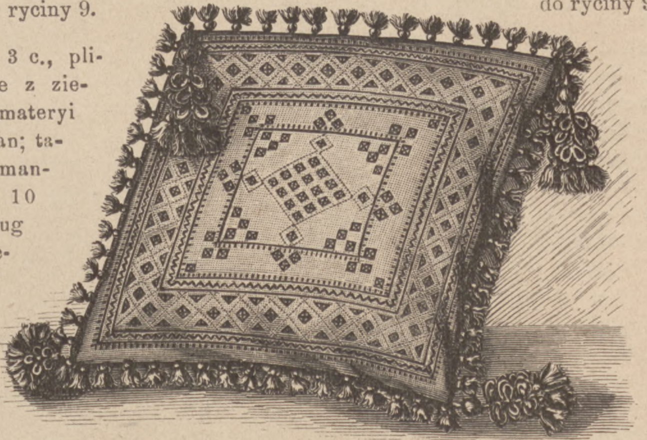


N. 7. Wązki szlaczek robotą krzyżową do ryciny 9.



N. 8. Wązki szlaczek robotą krzyżową do ryciny 9.

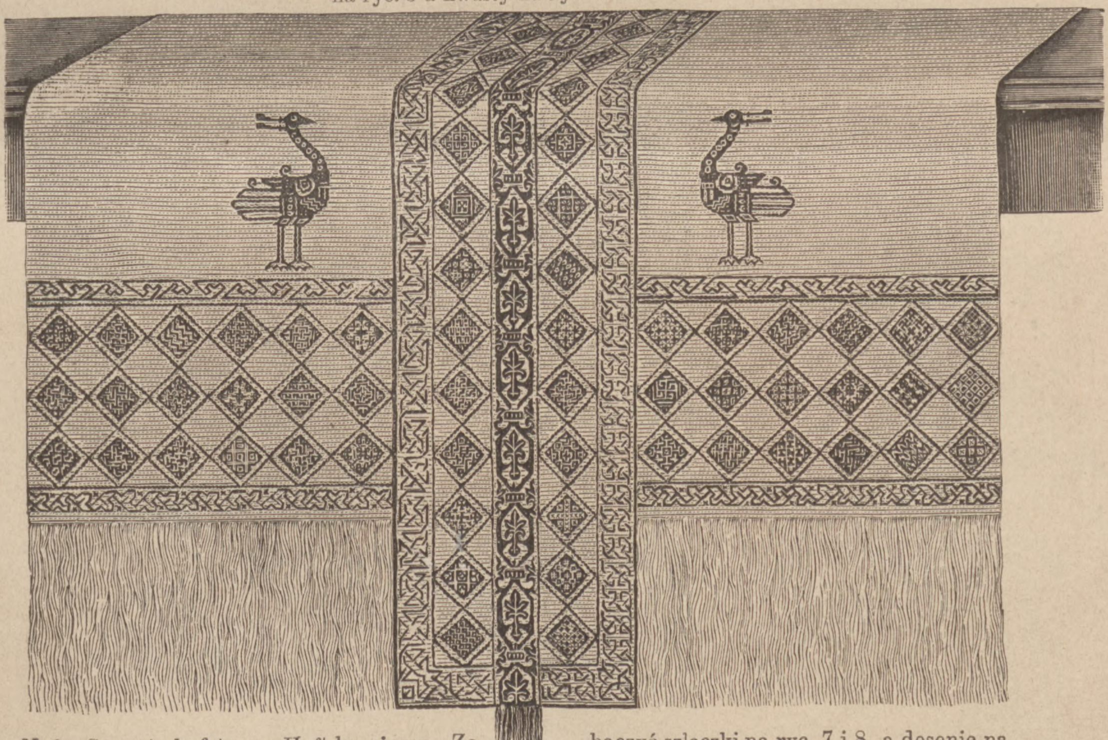
się do 3 c., plisowane z zielonej materyi ottoman; także mankiety 10 cent. szerokie. Długość i szerokość dopełnia się podług miar wypisanych na zmniejszonym formacie kroju. Szerokość zbywającą w plecach figura 45, zakłada się w całej długości w ściśle złożone fałdy; szerokość naddaną poniżej wcięcia stanu, składa się w kontrafałdy podług figury 47, przedstawiającej plecy płaszczyka. Pasek idący od boków spięty jest piękną metalową klamerką.



N. 4. Poduszka. Haft gobelinowy. Zobaczyć narożnik szlaku na ryc. 3 a kwasty na ryc. 5 i 6.

N. 23 i 26. Suknia ze stanikiem z baskiną i pelerynką. Krój na arkuszu N. XIV, figura 61.

Batyst blado-żółty gładki i w deseń kolorowy, przybrany atłasem ponsowym i 6 cent szeroką koronką. stanowi materyał na suknię przedstawioną na ryc. 26, zaś r. 23 przedstawia suknię z obcisłą pelerynką, odrobioną z beżu i skromnie ozdobioną aksamitem. Spódni-



N. 9. Serweta bufetowa. Haft krzyżowy. Zobaczyć szlaczki na ryc. 7 i 8, a desenie na tło na ryc. 10—14, oraz desenie na fig. 65—69.

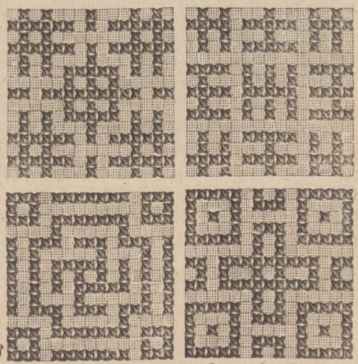


N. 5. Kwast do ryc. 4. Zobaczyć powiększoną próbkę roboty na ryc. 6.

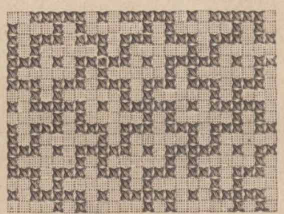
ca o ile widoczna jest z pod bufy i upięcia tylnego, naszyta jest trzema plisowanemi falbanami, przyciśniętemi w odstępach 20 c. plisami 7 c. szerokiemi, pokrytemi koronką i zakończonemi kokardą. U dołu sukni dana suta riusza, z pod której wysuwa się drobne plisowanie. Bufa przednia liczy 57 c. długości. Stanik z kamizelką ma z tyłu karoczko upięte z oddzielnego kawałka 68 cent. szerokiego, 82 długiego. Kokardy z wstążki 8 c. szerokiej.



N. 15. Sukienka paletocikowa dla dziewczynki lat 5—7. Przód na ryc. 24. Krój na arkuszu z formami N. III, fig. 15—21.



N. 10—13. Cztery desenie do roboty krzyżowej do ryc. 9.



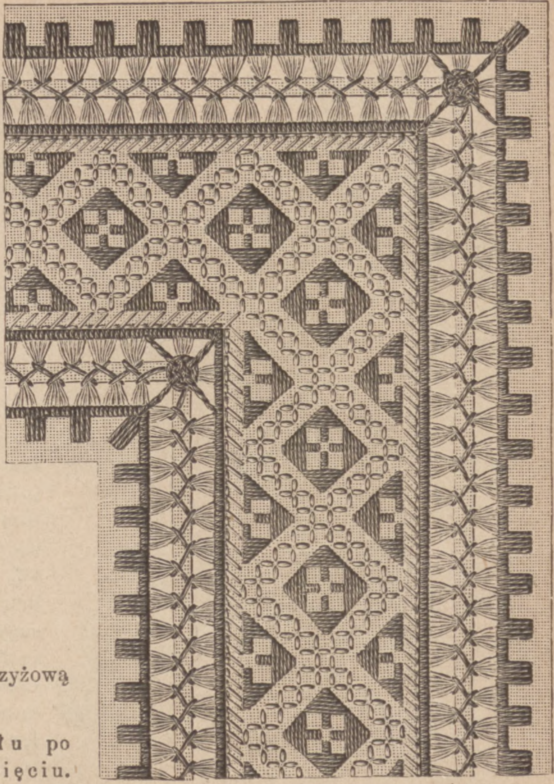
N. 14. Próbka roboty krzyżowej do ryc. 9.



N. 16. Sukienka dla małej dziewczynki.

N. 25. Płaszczyk z pelerynką, dla dziewczynki lat 5—6.

Kraje się podług formy paletocika luźnego z przodu, w plecach lekko wciętego i na 13 c. poniżej wcięcia stanu złożonego w kontrafałdy. Pelerynka podpięta w środku pleców, liczy 130 cent. dolnego obwodu, 36 cent. długości z przodu a 30 z tyłu po podpięciu. Za materyał służy jasno-piaskowe sukienko, a na kołnierzyk użyty aksamit bronzowy. Dwa rzędy małych guzików z konchy perłowej służą do zapięcia przodów; brzegi płaszczyka, pelerynki i kieszonek otoczone rzędami stębnówki. Kokarda ze szkockiej atłasowej wstążki 6 c. szerokiej.



N. 3 Szlak z narożnikiem. Haft gobelinowy na płótnie i kratka ażurowa.

N. 28. Sukieneczka z bluzką, dla panienki lat 10—12. Krój na arkuszu N. XII, fig. 54—58.

Spódnicę pokrywają trzy szerokie plisowane wolanty. Podszewkę gładką kraje się podług fig. 54 i 56, krająć zaś materyał zwierzchni, potrzeba brzegiem przodów i środkiem pleców naddać materyału na założenie fałd w bluzce, podług ryc. 28. Fig. 55 daje połowę kamizeleczki dopełniającej podłużny wykrój przodów i szalowego kołnierza. Pasek z wstążki związanej w długą kokardę. Su-



N. 6. Wiązanie kwastu do ryc. 4 i 5.

kienka była z granatowej satynki w rzucik ponsowy a kołnierz i mankiety 8 cent. szerokie z gładkiej satynki naszytej ponsowym sutaszem.

N. 29. Okrycie formą vêtement. Krój na arkuszu N. II, fig. 8—14.

Fason ten z przodami lekko namarszczonemi na wcięciu stanu, odpowiedni jest dla młodych mężatek; formę na długość i szerokość dopełnia się podług miar wypisanych na małym formacie



N. 17. Ubranie dla chłopczyka lat 3—5, (bluzka, stanik pod spód i majtki.) Krój na dodatku z formami N. XI, fig. 48—53.

fig. 8a—10a, fig. 11 daje miary prostego bryta, dopełniającego krótko krajane plecy, zmarszczonego ściśle u góry jak to widzimy na fig. 14. Zmarszczenie na wcięciu stanu z przodu daje się w miejscu oznaczonem linijką prostą na fig. 8, pod szyją zaś marszczy się od krzyżyka do kropki. Pasek i kołnierzyk aksamitny; guziki i klamerka metalowe.

N. 30—33 i 36—37. Serwetki (doilies) z kolorowem wyszyciem.

Do przyozdobienia małych serwetek, z dość grubego szarego płótna, służyć mogą rozmaite rodzaje ściegów, których próbki i wzory ciągle załączamy w Tygodniku Mód, a dziś także daliśmy na r. 36 i 37. Brzegi zakończa frendzla siepana z materyału, 3 c. szeroka, włącznie z którą serwetki liczą 20—23 c. w kwadrat; dla zamocowania nitek nad frendzlą, daje się wązki szlaczek, lub rzadkie dzierganie, idące na około albo tylko z dwóch stron jak u serwetki ryc. 31.

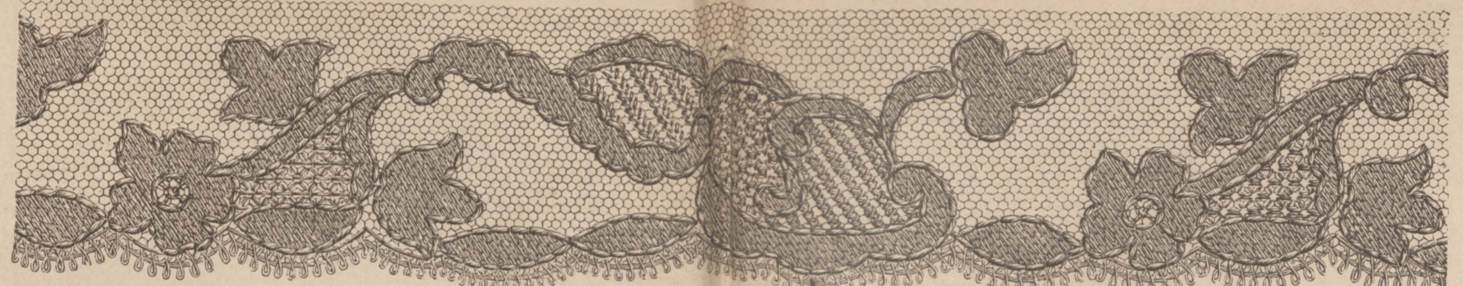
N. 34. Chusteczka kamizelkowa z pelerynowemi rękawkami. Krój i przód na arkuszu N. IV, fig. 22—25.

Przedstawiona z tyłu na ryc. 34, a z przodu na fig. 25 odrobiona była z materyi ottoman, ale można ją uszyć z każdego miękkiego wełnianego czarnego materyału. Do przybrania prócz torsadki z perełek naszytej na szwach, użyta suta szeroka frendzla sznelowa. Ażeby plecy wpadały do figury przyszyte są do paska ze wstążki, związanego z boku w kokardę.



N. 28. Suknia ze stanikiem bluzkowym dla panienki lat 10—12. Krój na dodatku z formami, N. XII, fig. 54—58.

N. 29. Okrycie formą vêtement. Krój N. II, fig. 8—14.



N. 19. Koronka cerowana na tiulu, naśladująca koronkę brukselską.



N. 20. Ubranie z długim stanikiem paltocikowym. Zobaczyć plecy na ryc. 11 w N-rze 40. Krój N. IX, fig. 35—43.

N. 21. Okrycie jesiennne. Krój na dodatku N. X, fig. 44—47.

N. 22. Ubranie ze stanikiem z krótką baskiną, przód na r. 27 w N. 40. Krój N. I, fig. 1—7.

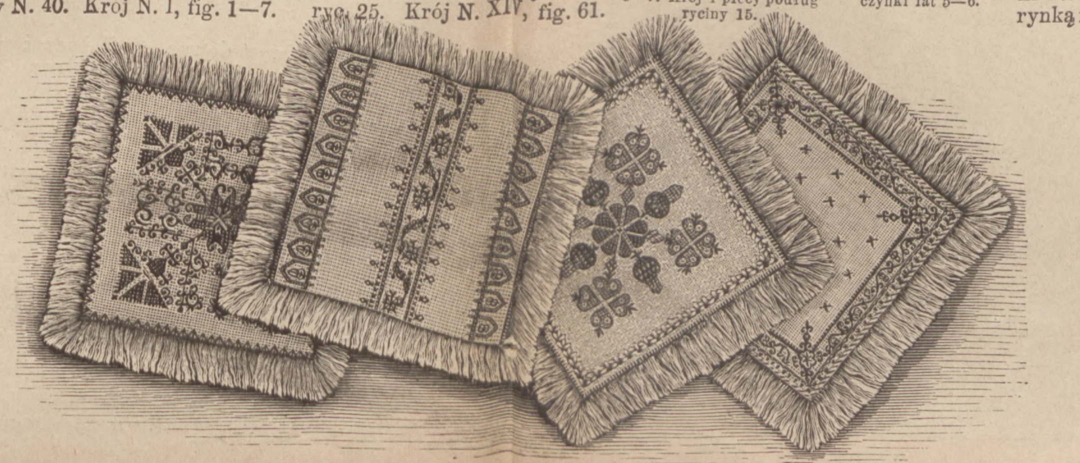
N. 23. Ubranie z pelerynką, także ubranie bez pelerynki na ryc. 25. Krój N. XIV, fig. 61.

N. 24. Sukienka paltocikowa dla dziewczynki lat 5—7. Krój i plecy podług ryciny 15.

N. 25. Płaszczyk z pelerynką dla dziewczynki lat 5—6.

N. 26. Suknia z bawetowym stanikiem. Zobaczyć ubranie z pelerynką na r. 23. Krój N. XIV fig. 61.

N. 27. Suknia z koronki czarnej. Zobaczyć plecy i krój ryc. 10 w N-rze 40.



N. 30—33. Cztery serwetki „doilies“. Haft krzyżykowy i ściegiem pojedyńczym. Zobaczyć szlaczki na ryc. 36—37.

N. 35. Paletocik Jersey.

Na chłodniejsze dnie w jesieni praktyczny jest wcinany paletocik z materyału trykotowego zwanego double Jersey. Paletocik przedstawiony na ryc. 35, był ciemno-granatowy, z małemi czarnemi guziczkami i liczył z przodu 62, z tyłu 74 centym. długości.

N. 38—39. Kapotka tiulowa.

Odrobiona na foremce tiulowej, z tiulu dającego się prać, jest zakończona w około brzegów nagłówkiem 3 cent. szerokim dwa razy przemarszczonym. Do twarzy dana riusza z koronki 7 cent. szerokiej. Na wielką kokardę, upiętą na wierzchu kapotki, potrzeba kawałka tiulu 42 c. szerokiego oszytego koronką. Bukiet bzu i końce z wstążki 2 c. szerokiej dopełniają przybrania.



N. 18. Sukienka „Jersey“, dla małej dziewczynki.

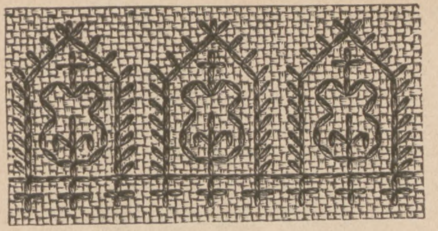
N. 40. Kapelusz z szerokiem rondem. Patrz ryc. 25 w N. 40.

Rondo 13 c. szerokie, podszyte ciemno-zielonym aksamitem, jest wywinięte w górę z tyłu jak to ryc. 40 wskazuje. Przybranie zwierzchnie stanowi wielka aksamitna kokarda, podgarnirowana koronką écru, 16 centym. szeroką. Z boku suty bukiet maków.



N. 34. Chusteczka kamizelkowa z pelerynowemi rękawkami. Przód i krój na arkuszu z formami N. IV, fig. 22—25.

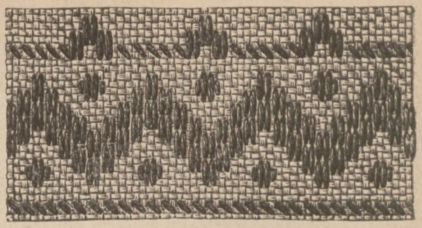
N. 35. Paletocik Jersey.



N. 36. Szlaczek do serwetki r. 31. Haft ściegiem pojedyńczym.



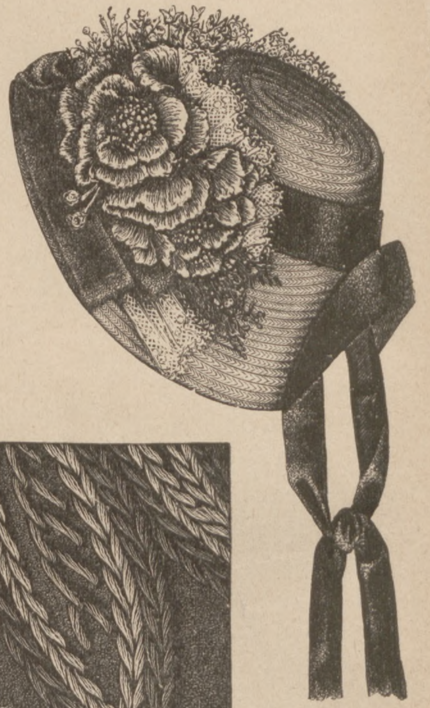
N. 38. Kapelusz tiulowy. Patrz ryc. 39.



N. 37. Szlaczek do serwetki r. 31. Haft gobelinowy.



N. 39. Kapelusz tiulowy. Zobaczyć przód na ryc. 38.



N. 40. Kapelusz okrągły z szerokiem rondem. Zobaczyć przód na r. 25 w N. 40.



N. 41. Część haftu na flaneli, na przykrycie do pufa ryc. 14—15 w N-rze 40.